Współczesny heroizm

W 2015 roku, gdy rząd Zjednoczonej Prawicy przejmował stery w Polsce, jego flagowym postulatem było wprowadzenie Programu 500+. Miał on nie tylko poprawić sytuację finansową polskich rodzin, zwłaszcza tych wielodzietnych, ale również doprowadzić do wzrostu liczby urodzeń. Tak się nie stało...

7

Źródło: fot. Aleksander Rajewski/Gazeta Studencka „Fenestra"

Doktor prędkości

Mało który zawodnik wpłynął na swoją dyscyplinę tak bardzo jak on. Z wyścigów motocyklowych zrobił show, przez co tysiące kibiców pojawiało się na torach całego świata dla niego. Dzięki niemu jego rodzinna miejscowość, Tavullia, stała się atrakcją turystyczną. Wyścigi motocyklowe bez Valentino Rossiego nie byłyby tym, czym dzisiaj są.

13

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra

Bezpłatny miesięcznik
Nr 86 LISTOPAD 2021

Obrońca ojczyzny kontra bohaterka

10 października na placu Zamkowym w Warszawie starły się głosy dwóch skrajnie odmiennych osób. Ale było to też zderzenie różnych wizji Polski – tej otwartej, tolerancyjnej i świadomej swojej historii, którą próbowała zagłuszyć Polska butna, „brunatna" i przekonana o własnej nieomylności.

Źródło: Tomasz Molina/Wikimedia Commons

Robert Bąkiewicz to twarz polskich nacjonalistów

Na wiecu poparcia dla obecności Polski w Unii Europejskiej przemawiała bohaterka powstania warszawskiego – Wanda Traczyk-Stawska. W pewnym momencie kontrmanifestacja nacjonalistycznych eurosceptyków zaczęła zagłuszać jej wystąpienie. Wzburzona Stawska wykrzyczała do mikrofonu: „Milcz, głupi chłopie. Milcz, milcz, milcz, chamie skończony. Milcz, bo ja jestem żołnierzem, który pamięta, jak krew się lała, jak moi koledzy ginęli, ja tu po to jestem, żeby wołać w ich imieniu" – te słowa są jej reakcją na to, z jakim brakiem szacunku przemówienie utrudniał jej Robert Bąkiewicz – jedna z czołowych postaci polskiej skrajnej prawicy.

Bohaterka Szarych Szeregów

Wanda Traczyk-Stawska (pseudonimy „Pączek" i „Atma") urodziła się w 1927 roku w Warszawie. Miała zaledwie 12 lat, gdy na jej miasto spadła najstraszniejsza wojna w dziejach ludzkości. W chwili wybuchu powstania warszawskiego miała już za sobą uczestnictwo w licznych akcjach sabotażowych, w których wzięła udział jako członkini Szarych Szeregów. W wyniku samego powstania odniosła poważne rany, a po jego upadku znalazła się w hitlerowskiej niewoli na terenie Niemiec. Po wojnie i powrocie do ojczyzny Traczyk-Stawska zajęła się psychologią i pedagogiką. Przez lata pracowała w szkołach, także specjalnych. Ponadto dbała o upamiętnienie swoich towarzyszy broni – osób, które oddały życie za wolność i Polskę. Odznaczono ją między innymi Krzyżem Walecznych, jest też honorową obywatelką miasta stołecznego Warszawa. Współcześnie Pani Wanda dała się poznać jako aktywna przeciwniczka polityki PiS-u. Wzięła udział w protestach przeciwko zaostrzeniu prawa aborcyjnego, skrytykowała Jarosława Kaczyńskiego za posługiwanie się symbolem powstańców warszawskich. Pomimo zaawansowanego wieku i zagrożenia zarażenia się koronawirusem zjawiła się też na wiecu poparcia dla członkostwa Polski w UE, gdzie doszło do „starcia" z Bąkiewiczem. Kim jest ten, którego nazwała „chamem"?

Twarz nacjonalizmu

Robert Bąkiewicz stał się rozpoznawalny jako jeden z organizatorów Marszu Niepodległości oraz czołowych przedstawicieli Obozu Narodowo-Radykalnego. Dał się poznać jako zagorzały przeciwnik Strajku Kobiet, krytyk demokracji (którą nazwał „jednym z najgłupszych systemów") oraz obrońca rzekomo „zagrożonych" kościołów. W swoich wypowiedziach wielokrotnie wspominał o toczącej się (jego zdaniem) „wojnie cywilizacji", w której to on i jego poplecznicy są obrońcami życia i wiary przed hordami lewicowych degeneratów i barbarzyńskich uchodźców. Od niedawna Bąkiewicz jest jednym z prawdziwych ulubieńców obozu rządowego. Szef marszu odwzajemnia to uczucie. Szczególnie upodobał sobie „współpracę" ze Zbigniewem Ziobro. Prywatnie Bąkiewicz jest ojcem trzech córek. Pytany o swoje metody wychowawcze odpowiada wymijająco, snując ponurą wizję postępującej (znów jego zdaniem) degradacji tradycyjnych wzorców płciowych. Zamartwia się rosnącą liczbą „niemęskich" mężczyzn, którzy według niego nie będą w stanie obronić ojczyzny ani być godnymi kandydatami na mężów dla jego córek… Na szczęście Bąkiewicz – ojciec, niesie swoim dzieciom „krużganek oświaty" i zamierza nauczyć je sztuki przetrwania, w tym posługiwania się bronią palną.

Państwowy marsz niegodziwości

Tegoroczny Marsz Niepodległości był zaskakująco „spokojny". Oczywiście to pojęcie względne, możemy mówić o spokoju w odniesieniu do wydarzeń z zeszłego roku, kiedy narodowcy z premedytacją spalili prywatne mieszkanie i zdewastowali sklep Empik. Po tym, jak prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski zabronił organizacji tegorocznego pochodu, rząd PiS podjął decyzję o uczynieniu go wydarzeniem rangi państwowej. Co znamienne, na państwowej uroczystości zabrakło czołowych twarzy obozu władzy. Nie zabrakło jednak ich politycznej interwencji. Wojewoda mazowiecki nakazał prewencyjnie usunąć część elementów infrastruktury miejskiej z trasy marszu. Żeby nie prowokowały. Żeby nie kusiły. A nuż jakiś „patriota" zechce wyrazić swoją miłość do ojczyzny poprzez wyrwanie kosza na śmieci lub rzut kostką bruku. Obchody 11 listopada już dawno przestały być momentem celebracji jednoczącym obywateli. Święto odzyskania niepodległości stało się festiwalem narodowej niezgody, podczas którego widać jak na dłoni ostre podziały światopoglądowe.

Od kilku lat obserwujemy stopniową faszyzację życia publicznego w Polsce. Przejawia się ona w języku, w czynach, w bierności lub wręcz w przychylności rządzących w stosunku do środowisk nacjonalistycznych. Prawicowi radykałowie czują się coraz bardziej rozzuchwaleni i bezkarni. Od języka nienawiści i wykluczenia przeszliśmy do rękoczynów, dewastacji, pobić, gróźb. Liczne zdarzenia o takim charakterze pozwalają na wyciągnięcie smutnego wniosku – powoli wchodzimy jako społeczeństwo w naszą „noc kryształową". Kolejnym etapem jest już fizyczna eliminacja „wrogów ojczyzny". Cytując Mariana Turskiego: „Auschwitz nie spadło z nieba".

Kacper ZIELENIAK

Jak rozpętali(śmy) trzecią wojnę światową?

Konflikt polskiego rządu z instytucjami unijnymi narasta. Rząd Prawa i Sprawiedliwości prowadzi polityczną walkę na wielu frontach. Spór z Komisją Europejską o praworządność, kłopoty finansowe stref wolnych od LGBT, kontrowersje wokół Turowa – to tylko ostatnie z wielu punktów zapalnych w relacjach z Unią. Do tego dochodzą niezliczone, nieprzemyślane wypowiedzi, także czołowych polityków obozu władzy, a jak wiadomo, słowa mają moc…

Źródło: flickr.com / Fot. Adam Guzi Krystian Maj / KPRM

Wypowiedź premiera wywołała medialną burzę

Echa wypowiedzi premiera Mateusza Morawieckiego z 25 października nie słabną. Szef rządu w wywiadzie dla „Financial Times" użył kontrowersyjnego sformułowania. Zapytany o możliwość nałożenia przez KE sankcji finansowych odpowiedział: „Co się stanie, jeśli Komisja Europejska rozpocznie trzecią wojnę światową? Jeśli do tego dojdzie, będziemy bronić naszych praw wszelką bronią, która jest w naszej dyspozycji". Tym samym chciał podkreślić, że rząd zamierza zlekceważyć unijne apele. Politycy PiS próbowali tłumaczyć słowa premiera. Marszałek Terlecki zbagatelizował je, uznając wypowiedź Morawieckiego za niegroźną metaforę. Czy pomimo tego mamy się czego obawiać? Pozycja, a już na pewno obecność Polski w Unii Europejskiej, jest zdecydowanie najbardziej zagrożona w historii naszego członkostwa.

Polexit w 2027?

Chociaż czołowi politycy partii rządzącej zaklinają rzeczywistość, podkreślając swoje przywiązanie do zjednoczonej Europy, to nie sposób nie odnieść wrażenia, że z każdym rokiem rządów PiS-u jesteśmy bliżej ewentualnego „Polexitu". Brak poparcia społecznego dla danego pomysłu nie stanowi dla rządzących przeszkody. Lekką ręką odebrali kobietom prawo do aborcji, mimo nieprzychylności przytłaczającej większości obywateli. Niemal 90-procentowe poparcie dla członkostwa Polski w UE (sondaż dla CBOS z końca października) nie zmienia faktu, że podjęcie decyzji o opuszczeniu wspólnoty jest zatrważająco proste. Do wypowiedzenia umowy o członkostwie wystarczy uzyskanie zwykłej większości na drodze sejmowego głosowania. Rządzący nie mają obowiązku organizowania referendum w tej sprawie. Poseł Janusz Kowalski z Solidarnej Polski snuje wizję polexitowego plebiscytu, który, według niego, powinien być przeprowadzony w 2027 roku. Nawet jeśli większość polityków zjed-

Cztery kąty, Morawiecki piąty

– Wystąpienie premiera było takie, że na następny dzień podchodzili do mnie europosłowie i mówili, że mi współczują, że muszę słuchać takich rzeczy – powiedziała europosłanka Róża Thun w programie „Onet Rano". Co wydarzyło się podczas debaty Parlamentu Europejskiego i czy możemy już mówić o całkowitej wizerunkowej katastrofie dla Polski?

Źródło: Krystian Maj/KPRM/ Flickr.com

Morawiecki zmiażdżony podczas debaty Parlamentu Europejskiego?

Z racji tego, że decyzję Trybunału Konstytucyjnego z 7 października określono mianem „ataku na europejską wspólnotę wartości", oficjalnie debata PE dotyczyła kryzysu praworządności w Polsce i prymatu unijnego państwa. Jednakże, jeśli dobrze przysłuchamy się wypowiedziom obecnych na debacie gości, dotrze do nas, że chodziło jak zwykle o pieniądze, a dokładniej o 20 miliardów euro. Chodziło także o wstrzymanie Krajowego Planu Odbudowy, który ma być podstawą wprowadzenia Nowego Ładu, już nie wspominając o byciu głównym promotorem kampanii PiS-u.

W paszczy lwa

Chyba już każdy zdążył zauważyć, że stosunki pisowsko-europejskie są najłagodniej mówiąc napięte. Chociaż 90% Polaków nie chcę opuszczać Unii Europejskiej, to może się okazać, że najprościej w świecie nas stamtąd wyrzucą. Komisja Europejska nie przebierając w słowach, zarzuca nam m.in. podważanie jednej z podstawowych zasad UE, jaką jest praworządność. Debata była świetną okazją do tego, aby dyplomatycznie wyjść z całej sytuacji, możliwe, że nawet obronną ręką. Wystarczyło przyznać się do błędów, wysłuchać tego, co ma do powiedzenia Europa i w końcu wyciągnąć jakieś wnioski z zaistniałej sytuacji. Czy cokolwiek z tego miało miejsce? Oczywiście, że nie. A taką kolej rzeczy zawdzięczamy naszemu premierowi. Morawiecki na początku swojej przemowy zarzekał się, że rozwinie polskie stanowisko w kilku podstawowych kwestiach takich jak: kryzys, przed którymi stoi Europa, standardy i reguły, które powinny być takie same dla wszystkich, pluralizm konstytucyjny czy potrzebę różnorodności i wzajemnego szacunku. Plan ambitny. Wykonanie pokraczne i na kilometr śmierdzące hipokryzją.

Woda z mózgu

Według przewodniczącej KE Ursuli von der Leyen nie można uznać TK za legalny organ, a to oznacza, że nie może on orzekać o tym, czy konstytucja w Polsce została złamana, czy nie. Brak praworządności oznacza brak równości wobec prawa, a to równość jest szczególnie ważna dla KE. Pomimo tego, szef polskiego rządu przez pół godziny ubolewał nad tym, jak niesprawiedliwie jesteśmy traktowani przez UE. Całe przemówienie utrzymane było w tonie absurdu. Im dłużej trwało, tym mniej z niego wynikało. Cóż,

noczonej prawicy twierdzi, że nie popiera pomysłu opuszczenia wspólnoty, to robią oni wszystko, żeby Unię Polakom zohydzić. Słowa o „brukselskim okupancie", „unijnej szmacie" czy wspomnianej „trzeciej wojnie światowej" są nie tylko głupie, lecz przede wszystkim szkodliwe. Obniżają i tak zszarganą wiarygodność Polski na arenie międzynarodowej. Nasi zagraniczni partnerzy nie są głusi, docierają do nich haniebne słowa, którymi PiS posługuje się na potrzeby polityki wewnętrznej i mobilizowania własnego elektoratu.

Kopalnia niezgody

Spór z Czechami o ekologiczne skutki wydobycia węgla w regionie Turowa trwa od lutego, kiedy nasi południowi sąsiedzi zaskarżyli polski rząd do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. TSUE nakazał natychmiastowe wstrzymanie eksploatacji kopalni oraz elektrowni, czego strona polska do dzisiaj nie uczyniła. Z powodu tej bierności Czesi oczekiwali aż pięciu milionów euro zadośćuczynienia dziennie, jednakże ostateczna kara, którą jesteśmy zobowiązani zapłacić, wynosi „jedynie" 500 tysięcy euro dziennie. Negocjacje są na przemian wznawiane i zrywane. Rząd odmawia uiszczenia grzywny. Nowa ministra klimatu – Anna Moskwa, stawia sobie ambitny cel zakończenia sporu. W tym celu udała się do Pragi, gdzie mają się odbywać dalsze pertraktacje. Kopalnia odkrywkowa w Turowie ma według najwyraźniej możemy mówić już o „syndromie Morawieckiego". Im więcej premier mówił, tym trudniej było go zrozumieć. Andrzej Halicki zauważył, że tak naprawdę udzielił tylko jednej konkretnej wypowiedzi. Dotyczyła ona zlikwidowania Izby Dyscyplinarnej. Reszta to „kłamstwa, których w ciągu minuty nie da się sprostować". Warto wspomnieć, że każdy, kto zabierał głos podczas debaty, był ograniczony czasem. Każdy prócz naszego szefa rządu, którego przydługie przemówienie wielokrotnie usiłowano przerwać. Niewzruszony Morawiecki kontynuował swoją wypowiedź. Był nawet bezczelny na tyle, żeby upominać europosłów, aby ci mu nie przerywali. Czy takie zachowanie nie jest idealnym odzwierciedleniem stosunków pisowsko-europejskich? W końcu polska władza dostrzega problem wszędzie, tylko nie na własnym podwórku. I w dodatku nie omieszka tych problemów wytykać swoim sąsiadom.

– Nie możemy milczeć, gdy Polska jest atakowana w niesprawiedliwy i stronniczy sposób; niedopuszczalne jest podejmowanie decyzji bez podstawy prawnej i używanie szantażu finansowego (…) Odrzucamy język gróźb i szantaż ze strony instytucji unijnych – dodał Morawiecki.

strony polskiej funkcjonować do 2044 roku.

Kosztowna (nie)praworządność

Po tym jak Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej uznał prymat prawa polskiego nad unijnym (tym samym podważając jedną z podstawowych zasad członkostwa w UE), Polska znalazła się niejako w sytuacji bez dobrego wyjścia. Są w zasadzie cztery opcje. Albo Unia zmieni swoje prawo (co chyba z oczywistych względów nie wchodzi w rachubę), albo PiS zmieni konstytucję (do czego nie ma odpowiedniej większości), albo władza będzie ignorować wyrok swojego Trybunału. Zostaje też ostateczna opcja numer cztery – polexit. Głosy zaniepokojenia stanem praworządności w Polsce płyną nie tylko z instytucji UE, ale również innych krajów członkowskich. Gorącymi zwolennikami wstrzymania funduszy unijnych dla naszego kraju są chociażby szefowie rządów Belgii i Holandii. PiS z kolei uważa jakiekolwiek żądania zza granicy za bezpodstawne ataki na polską suwerenność.

Jesteśmy skłóceni z naszymi sąsiadami, coraz bardziej oddalamy się od wspólnoty europejskiej. Powoli stajemy się samotną wyspą na dyplomatycznym oceanie, przekonaną o własnej wyjątkowości i nieomylności. Palimy za sobą mosty, obrażamy sojuszników i najbliższych partnerów. Za pochopną politykę zagraniczną rządu wysoką cenę zapłacą przede wszystkim zwykli obywatele.

Kacper ZIELENIAK

Katastrofa nie tylko wizerunkowa?

Załóżmy na chwilę, że premier raz w życiu ma rację. Że te całe „szantaże finansowe" mają miejsce, że nie jest to tylko celowy dobór słów, mający na celu nastawienie Polaków przeciwko UE. Czy rzeczywiście jest nas czym straszyć? Czy poradzimy sobie bez pieniędzy unijnych? Nie weźmiemy już pożyczki, którą będzie trzeba spłacać, ale przyjdzie też nam pożegnać się z dotacjami, co oznacza, że będziemy mogli zapomnieć, chociażby o inwestycjach infrastrukturalnych, na których teraz skupia się rząd. Nici z Krajowego Planu Odbudowy. Czy władza rządząca jest na to gotowa? Raczej nie, ale na razie udają, że są. Morawiecki też udawał i to przez blisko 4,5 godziny. Swoją drogą, pewnie wielokrotnie dziękował w duchu, że ma maseczkę na twarzy. Dzięki temu nikt nie widział, jak na przemian blednie i czerwienieje z emocji, bo trzeba przyznać, że debata nie była prowadzona w przyjaznej narracji.

Dwa dni później, 21 października, europosłowie głosowali nad rezolucją w sprawie Polski. Wynik wskazuje na to, że PE wzywa KE do podjęcia natychmiastowych działań w obronie praworządności w Polsce po ostatnim wyroku TK. Czy to oznacza, że możemy spać spokojnie?

Katarzyna RACHWALSKA

Kosmos bliżej Polski

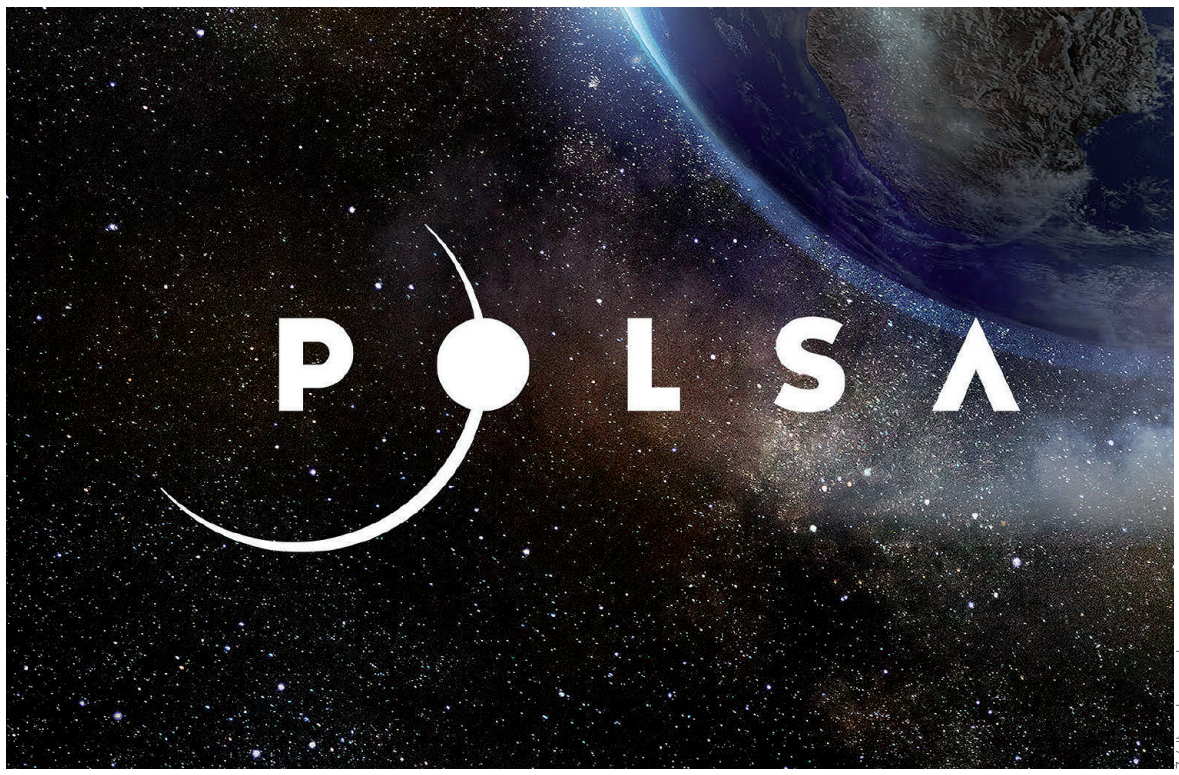

Źródło: polsa.gov.pl

Polska łączy siły z NASA, przystępując do porozumienia Artemis Accords

Każdy z nas chociaż raz w swoim życiu zastanawiał się, co ukrywa przed nami gwieździste niebo. Ludzkie domysły czy filmowa wyobraźnia scenarzystów z Hollywood stworzyły nieskończoną liczbę teorii na temat kosmosu i obcych cywilizacji. Ku niezadowoleniu zwolenników teorii, że ziemia jest płaska, świat doszedł do niewyobrażalnego nigdy wcześniej postępu technologicznego, dzięki któremu już prawie nic nie stoi na przeszkodzie zbadania tego, co kryje się za gwiazdami.

W październiku podczas Międzynarodowego Kongresu Astronautycznego Polska Agencja Kosmiczna (POLSA) podjęła współpracę z NASA, przystępując do porozumienia Artemis Accords. Oprócz Stanów Zjednoczonych i Polski w projekcie biorą udział takie państwa jak Wielka Brytania, Australia, Włochy, Luksemburg, Kanada, Japonia i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Całe przedsięwzięcie ma charakter pokojowy, a celem wspólnej pracy jest rozwój technologii i wykorzystanie przestrzeni kosmicznej. To bez wątpienia bardzo dobra wiadomość dla naszego kraju, chociażby z perspektywy rozwoju innowacji. Należy również zauważyć, że plany sięgają daleko w przyszłość. Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii już od blisko pięciu lat jest odpowiedzialne za realizację Polskiej Strategii Kosmicznej, która przedstawia plan pracy aż do 2030 roku.

POLSA – czyli nasze NASA?

Polska Agencja Kosmiczna z siedzibą główną w Gdańsku została utworzona w 2014 roku. Jako organ wykonawczy Ministerstwa Rozwoju, Pracy i Technologii wspiera rozwój technik satelitarnych w wielu obszarach naszego życia. Prosty przykład – prognoza pogody. Na pozór sprawa niemająca większego znaczenia, ale dosyć istotna w momencie planowania wolnego czasu, wakacji czy ważnych wydarzeń, jak np. wesele. Kosmos jest jednym z wielu czynników wywierających wpływ na nasze życie i wygląd naszej planety. Wiele firm umieszcza na orbicie swoje satelity, które wymagają obserwacji i ochrony. To też jedno z zadań wykonywanych przez POLSA. Jej prezesem od lutego 2021 roku jest prof. dr hab. Grzegorz Wrochna, który dostrzega „duży potencjał polskiego sektora kosmicznego w obszarze eksploracji". Uważa też, że program Artemis to „ogromny wachlarz możliwości dla rozwoju nauki i technologii w wielu dziedzinach". Z pewnością przeciętny obywatel nie zdaje sobie sprawy z dotychczasowych osiągnięć i potrzeby dalszej eksploatacji kosmosu, dlatego kolejnym celem POLSA jest poszerzanie świadomości ludzi w tym zakresie.

> Z pewnością przeciętny obywatel nie zdaje sobie sprawy z dotychczasowych osiągnięć i potrzeby dalszej eksploatacji kosmosu, dlatego kolejnym celem POLSA jest poszerzanie świadomości ludzi w tym zakresie.

Europa do gwiazd

W 1975 roku do życia została powołana Europejska Agencja Kosmiczna (ESA). Siedziba organizacji znajduję się w stolicy Francji, a obecnie jej dyrektorem generalnym jest Austriak – Josef Aschbacher. W skład ESA wchodzą aż 22 państwa członkowskie, których celem są badania i realizacja wspólnego, europejskiego programu badania i wykorzystania przestrzeni kosmicznej. Od 2012 roku Polska również może poszczycić się członkostwem i dokładaniem swojej cegiełki do eksploatacji kosmosu. Nie sposób nie zauważyć, że ESA stawia na wielozadaniowość. Priorytetem są programy obowiązkowe, które finansowane są ze składek wszystkich państw członkowskich. Z kolei programy opcjonalne finansowane są przez państwa bezpośrednio w nich uczestniczące. Chociaż na „powrót ludzi na księżyc" i powszechną dostępność lotów w kosmos będziemy musieli jeszcze trochę poczekać, z najnowszych doniesień wynika, że ESA zamierza umieścić na orbicie konstelację satelitów – CO2MVS, które mają odpowiadać za śledzenie emisji dwutlenku węgla w przestrzeni kosmicznej. Ocieplenia klimatu nie da się już zatrzymać, ale dzięki ESA istnieje szansa na spowolnienie tego procesu. Pytanie brzmi: czy damy przyszłym pokoleniom wystarczająco czasu na uratowanie naszej planety?

Karol SZABANOWSKI

I nie wódź nas na pokuszenie…

Sukienki, spódniczki i bluzki na ramiączkach skazane na dożywotnie leżenie na dnie szafy, a przynajmniej do ukończenia szkoły przez ich właścicielki. Placówka szkolna nie jest bowiem miejscem na tego rodzaju kontrowersyjne ubrania. Dziewczynki winne są zachować skromność i schludność swojego stroju, aby w żadnym wypadku nie prowokować nim swoich szkolnych kolegów.

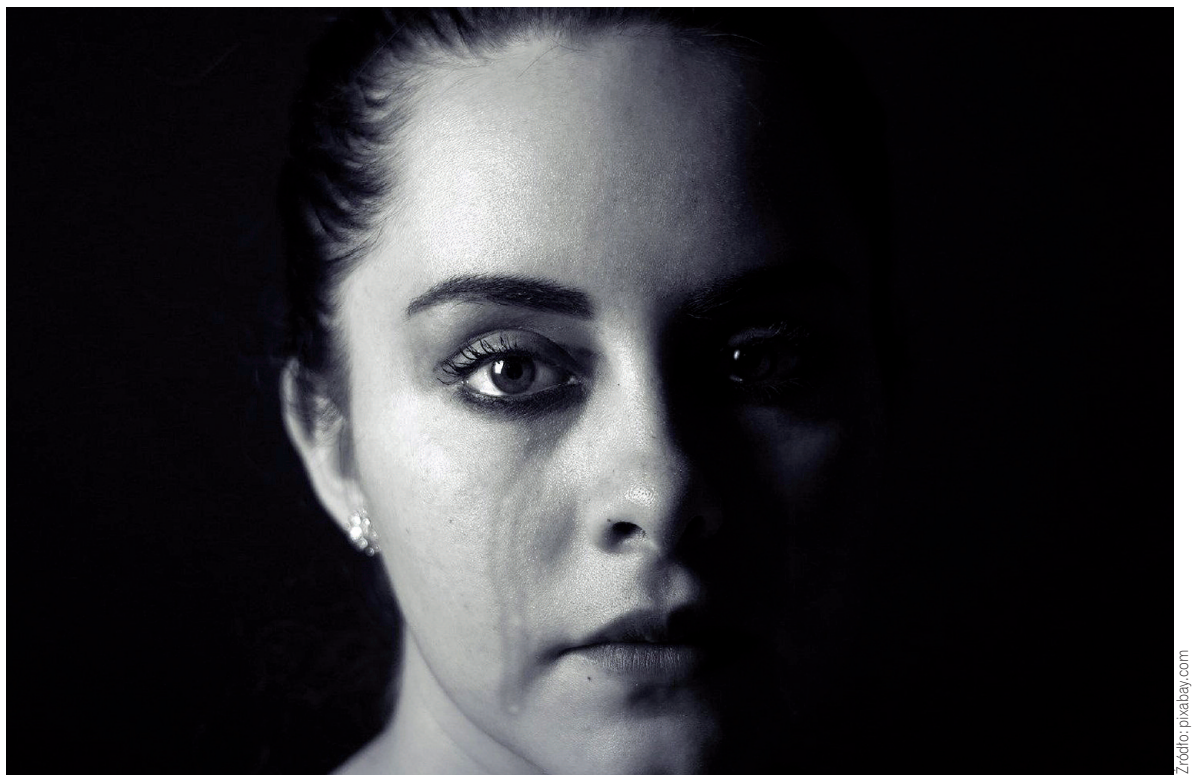

Źródło: pixabay.com

Cnoty niewieście wkraczają do polskich szkół

Swego czasu dość głośno było o niesławnych „cnotach niewieścich" Pawła Skrzydlewskiego, doradcy pana ministra edukacji. Wtedy uspokajano, mówiono, że to tylko słowa, że tak tylko spontanicznie mu się powiedziało i że to tylko pana Pawła skromne zdanie. I tu się Państwo zdziwią – nasz wielce szanowany i uwielbiany przez polską młodzież minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek kolejny raz pokazuje, że słowa to czyny, a czyny to śmiech przez łzy. Niewieście łzy.

Szef MEiN nie tylko dba o duchowość uczniów czy naukę wykonywania obowiązków przyszłych założycieli katolickich rodzin. Teraz idzie o krok dalej i niczym dobry ojciec staje na straży stosownego ubioru swoich córek i komfortu psychicznego swoich synów.

Puk, puk. Kto tam? Cnoty niewieście

Uprasza się dziewczęta o przychodzenie na zajęcia w skromnych ubraniach reprezentujących cnoty niewieście młodych kobiet. W tym celu obowiązuje całkowity zakaz noszenia spódniczek, sukienek czy bluzek ze zbyt dużym dekoltem. Naruszeniem regulaminu jest również zbyt mocny makijaż czy pomalowane paznokcie. Brak respektowania powyższych zasad będzie surowo karany. Chodzi bowiem o komfort chłopców, którzy takim wyglądem dziewczynek zmuszani są do niestosownego zachowania względem nich.

Brzmi jak komunikat szkoły z horroru, prawda? Muszę jednak Państwa zasmucić. To nie horror. To polska rzeczywistość. Wiele szkół wzięło sobie bowiem aż nazbyt mocno do serca wizje Przemysława Czarnka i sukcesywnie wprowadzają cnoty niewieście do swoich placówek wychowawczych.

Szkoła (nie)przyjazna uczennicom

Chcemy wychować dziewczyny na bogobojne kobiety. Na takie, które będą bały się zabierać głos. Chcemy wychować chłopców na takich, którzy nie będą szanować kobiet. Na takich, którzy w dorosłym życiu staną się bezkarnymi sprawcami napaści na tle seksualnym. Przecież sama się o to prosiła, ubierając tę czerwoną sukienkę.

Nie wszyscy jednak są zwolennikami nowego szkolnego ładu pana ministra. Pojawiają się odważne głosy, które mówią: „Dość!". Mało tego, mają jakieś swoje postulaty i żądają, aby szkoła była dla uczniów, a nie uczniowie dla szkół. Chcą miejsca, w którym młodzi ludzie będą mogli poznawać i wyrażać siebie. Gdzie będą czuć się bezpieczni i zrozumiani, a nie oceniani i prześladowani. Miejsca dla wszystkich, a nie tylko dla cnotliwych i bogobojnych. Szkoła powinna być szkołą, a nie kolejnym kościołem. Trzeba przyznać – mają czelność, że tak sobie krzyczą, ale czy te krzyki coś pomogą? Kogut też dużo pieje, a później robią z niego rosół.

Szkoła konserwatywna od zawsze?

Dawno, dawno temu ja też chodziłam do szkoły. W pamięć szczególnie zapadła mi pewna psycholożka, pracująca w moim liceum. Prowadziła ona swoją własną krucjatę doprawioną kroplą mesjanizmu. Była niczym srogi dozorca szkolnej prawości, czyhający na swoje ofiary. Łowy rozpoczynała już z samego rana, a jej ofiarami padały Bogu ducha winne uczennice. A to fryzura zła, a to makijaż zbyt mocny i ubranie zbyt wulgarne. Chłopców też karciła. Raz jednemu chłopakowi, który miał niebieskie włosy, wręczyła do ręki maszynkę i kazała je zgolić w szkolnej toalecie. Strach było przejść obok tej kobiety. Wielokrotnie byłam naocznym świadkiem, jak moje szkolne koleżanki wychodziły z jej gabinetu z płaczem i były odsyłane do domu za nieadekwatny do miejsca strój. Sama również padłam jej ofiarą przez zbyt dużą liczbę kolczyków w jednym uchu. Brzmi komicznie, ale w tamtej chwili nie było mi do śmiechu. Czułam się, jak gdybym co najmniej okradła szkolny sklepik, prowadzony przez uroczą starszą panią Jadzię. Problem zatem nie jest nowy. Można by rzec nawet, że krzywdzące i konserwatywne działania szkół trwają dłużej niż okres panowania Przemysława I Czarnka.

Uczymy chłopców, że strój prowokuje, że ubranie dziewczyny daje podstawy do napaści seksualnej. Pozwalamy młodym ludziom myśleć, że to ubiór jest problemem, a nie mentalność i wychowanie. Zamiast zapobiegać traumom i przestępstwom, zmuszamy ofiary seksualne, aby odpuszczały winy swoim winowajcom. Czy jest w tym coś cnotliwego?

Izabela SULOWSKA

Komuniści wymyślili, PiS udoskonalił

PiS w trakcie konfliktu z TVN-em, który swoje apogeum osiągnął w wakacje 2021 roku, lubowało się w przekonywaniu Polaków, iż rzeczona stacja to komunistyczna propagandówka. Pomóc miała narracja zasadzająca się na twierdzeniu, że założyciel stacji Mariusz Walter był w PZPR, a w 1984 roku założył grupę ITI, która później była właścicielem TVN. Równie dobrze można więc powiedzieć, że komunistyczne są powstałe na początku komuny w Polsce TVP i Fundusz Kościelny.

Najprościej, po wyjaśnienie dotyczące Funduszu Kościelnego, sięgnąć do źródeł rządowych. Na stronie internetowej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji czytamy krótki opis Funduszu utrzymany w standardowej dla urzędów bezosobowej mowie.

„Fundusz Kościelny został powołany na mocy art. 8 ustawy z dnia 20 marca 1950 r. o przejęciu przez Państwo dóbr martwej ręki, poręczeniu proboszczom posiadania gospodarstw rolnych i utworzeniu Funduszu Kościelnego (Dz. U. Nr 9, poz. 87, z późn. zm.) jako forma rekompensaty dla kościołów za przejęte przez Państwo nieruchomości ziemskie". Jednozdaniowy opis można by ubogacić jednak o słowa „komuniści", „PZPR" czy chociaż bardziej zawoalowane „władza ludowa". Tych haseł nie znajdziemy jednak nie tylko w wyżej przytoczonym fragmencie, ale także i na całej stronie rządowej Funduszowi poświęconej.

Ale bądźmy wyrozumiali. PiS odwołuje się do komunistycznej przeszłości jedynie, kiedy to dla partii wygodne, przede wszystkim na użytek atakowania opozycji i szeroko pojętych przeciwników władzy. Fundusz Kościelny służy niewątpliwie do utrzymywania dobrych stosunków rządu z Kościołem katolickim w Polsce, który jest jego największym beneficjentem.

Z czym się je, kto może się najeść i dlaczego nie ty?

Powołanie Funduszu Kościelnego w 1950 roku miało za cel rekompensowanie klerowi przejmowanych nieruchomości ziemskich. Mijały dekady, pierwsi sekretarze, nawet ustroje, prezydenci i rządy, a wraz z nimi dochodziło do zmian w Funduszu. Zmieniły się jednak cele, na jakie wypłacane są środki z Funduszu. Przez długie lata po 1989 roku, aż do rządów PiS pieniądze trafiały wyłącznie na pokrywanie składek osób pracujących w różnych grupach wyznaniowych zarejestrowanych na liście MSWiA jako biorcy (tych jest ponad 160 na liście). Chodziło o zabezpieczenie ich miejsc pracy oraz godną starość z emeryturą.

Prawo i Sprawiedliwość ma dziś po swej stronie wciąż mocnego sojusznika, jakim jest Kościół. Zaś żeby przyjaźń umacniać, należy od czasu do czasu wykonać mniej lub bardziej znaczący gest.

Po przejęciu władzy przez ekipę z Nowogrodzkiej okazało się, że środki z Funduszu Kościelnego można przeznaczać już nie tylko na składki. Lekką ręką PiS otworzyło furtkę do wypłacania pieniędzy na działalność charytatywno-opiekuńczą oraz konserwacje świątyń. Sprawa powinna zainteresować wszystkich Polaków, bowiem jedną ze zmian, którą wprowadziła niekomunistyczna władza w 1990 roku, była ta dotycząca źródła finansowania. Od początku lat 90. pieniądze na kościoły płyną tylko z budżetu państwa, a w skrócie – z mojej i twojej kieszeni. Nas wszystkich.

Moja granica murem podzielona

Przetrzymywanie uchodźców na granicy Polski z Białorusią. Strefy, do których nie mogą wejść dziennikarze. Pushbacki. Można by było powiedzieć ponuro – na wschodzie bez zmian. Tyle że do dotychczasowych praktyk dołączy nowy pomysł w postaci budowy muru na granicy z Białorusią. Pomysł ten jest coraz bliżej realizacji.

Źródło: Twitter/Mariusz Kamiński

Tak będzie wyglądała zapora na wschodniej granicy

„Ustawa o budowie zabezpieczenia granicy państwowej” – taką nazwę nosi akt prawny, który został uchwalony przez Sejm 14 października. Niedawno wszedł w życie. Na początku listopada podpisał go prezydent Andrzej Duda. Jak mówią pomysłodawcy, na wschodzie mamy do czynienia z presją migracyjną, a sam projekt jest „symbolem determinacji państwa polskiego w ograniczaniu masowej, nielegalnej migracji”. W momencie pisania tego tekstu szef MSWiA Mariusz Kamiński zdążył na konferencji prasowej przedstawić szczegóły zapory, która powstanie na mocy ustawy.

„A mury rosły…”

Akt zakłada powstanie wysokiego na pięć i pół metra muru (z czego pół metra mają stanowić zwoje drutu kolczastego) na ponad 180-kilometrowym odcinku na granicy z Białorusią. Jednak to nie tylko fizyczne ogrodzenie. Na listopadowej konferencji minister Kamiński i generał brygady Straży Granicznej Wioleta Gorzkowska mówili o czujnikach ruchu, kamerach dziennych, noktowizyjnych i kablach wykrywających ruch.

Specustawa procedowana była ekspresowo. Ekspresowo ma też zacząć się budowa rzeczonego muru, bo już w grudniu bieżącego roku. Natomiast do połowy następnego roku cała inwestycja ma zostać ukończona. Według szacunków rządu zapora pochłonie ponad 1,6 miliarda złotych.

To nie są ludzie

Trudno trzymać uchodźców na granicy bez przyzwolenia obywateli, dlatego rządzący próbują zbudować mur, korzystając ze starej, „dobrej” dehumanizacji. W końcu im mniej człowieka widać w człowieku, tym łatwiej będzie czuć obojętność na jego los.

I tu pojawia się niesławna, wrześniowa konferencja prasowa w wykonaniu ministra Kamińskiego i szefa MON Mariusza Błaszczaka. W jej trakcie ministrowie zaprezentowali materiały z karty SD, rzekomo znalezionej przez polskich pograniczników na szlaku migracyjnym. Materiały prezentowały m.in. treści zoofilskie – mężczyznę kopulującego z krową. Wniosek jest prosty – wśród osób przebywających na granicy są ci o ohydnych skłonnościach, a w związku z tym żadna z osób nie powinna się znaleźć po naszej stronie granicy. Czy nie słychać w tych słowach echa z 2015 roku, kiedy to w podobny sposób próbowano zakończyć kryzys imigracyjny?

Gra w wojnę

Zdaniem rządzących i prorządowych mediów warto przeznaczyć półtora miliarda na dalsze trzymanie ludzi na granicy. To pokłosie wojny hybrydowej, która według polityków prowadzona jest przez reżim Łukaszenki.

– To reżim białoruski z powodów politycznych, żeby zdestabilizować sytuację w Polsce i UE, zdecydował się na wytworzenie sztucznego ruchu migracyjnego na teren naszego kraju – mówił szef MSWiA Mariusz Kamiński. Podobnie uważa były dowódca GROM gen. Roman Polko, który w rozmowie z Interią stwierdził, że wojna hybrydowa już się toczy. Sam portal z kolei donosi (za informacjami podanymi przez MON, Straż Graniczną i Stanisława Żaryna) o prowokacjach, białoruskich pogranicznikach grożących ich polskim odpowiednikom oraz przerzucającym ludzi na granicy na polską stronę.

Tymczasem skutkiem tej wojny hybrydowej jest cierpienie kolejnych ludzkich istnień, którym (zakładam) nie było w głowie destabilizowanie państw. Trudno jest oddzielić element hybrydowej wojny od najzwyczajniejszej ludzkiej krzywdy. Sytuacja jest bardzo trudna, jednak trzeba pamiętać, że w imię politycznych zagrywek na granicy zmarło już kilku uchodźców, w tym 16-letni Irakijczyk. A robi się coraz zimniej. Problemem wciąż jest brak dostępu pomocy medycznej dla uchodźców oraz brak możliwości stworzenia korytarza humanitarnego. Jeśli nic się nie zmieni, kolejni ludzie będą ginąć, tylko że teraz oddzielać nas od nich będzie mur. Ten może stać się nie tylko symbolem dużej determinacji w ograniczaniu nielegalnej imigracji, ale także – symbolem apatii. Dlatego też powstała kampania społeczna „Nikt nie zasługuje na śmierć w lesie” z udziałem przedstawicieli środowisk artystycznych oraz Kościoła katolickiego, w której nawołują oni o pomoc cierpiącym na granicy ludziom. Czy zobaczymy jej efekty? Sytuacja zmienia się jak w kalejdoskopie, wobec czego warto ją uważnie obserwować.

Jakub SZUSTAKOWSKI

Lata lecą, a Fundusz pęcznieje

Znane ludowe porzekadło kolportowane przede wszystkim ustami młodych Polaków mówi konkretnie: „HAJS SIĘ MUSI ZGADZAĆ”. No i tak się z roku na rok coraz bardziej Kościołom zgadza, że z tej zgody powstał jeden ogólnopolski konsensus. Konsensus co do tego, że zaraz środki na Fundusz Kościelny przebiją o 100% te, które zaplanowane były na rok 2000.

Jeszcze do 2012 roku pieniądze przelewane na poczet związków wyznaniowych w Polsce nie przekraczały 100 mln zł. Ba, w latach 90. fundusz wynosił mniej niż 10 mln zł rocznie nawet przy uwzględnieniu denominacji. W 2013 roku było to już jednak 118 mln zł, w 2014 – 133 mln zł, a w roku przejęcia przez PiS władzy koalicja PO-PSL zaplanowała 128 mln zł wydatków na Fundusz. Wszelkie hamulce puściły, gdy do władzy dostała się ekipa z Nowogrodzkiej.

Szybko okazało się, że rozszerzono nie tylko cele, na które można wydać środki z funduszu, ale także kwotę – i to znacznie. W 2016 roku Fundusz Kościelny opiewał już na 145 mln zł, w 2017 roku było to 159 mln zł, w 2018 roku –176 mln zł, ale w 2019 roku już 171 mln zł. Ostatni odczyt jest oczywiście mniejszy, ale i w jego wypadku padł rekord – nigdy dotąd Polska nie wydała tak wiele na składki osób duchownych. Jeśli ten spadek w liczbach zmartwił księży w 2019 roku, łzy otarła im kwota niemal 182 mln zł, którą PiS na Fundusz Kościelny przeznaczyło w 2020 roku.

Znikające pieniądze, rosnące wydatki i gigant

Trudno mówić o tym, jaka kwota przeznaczona zostanie na Fundusz Kościelny w 2021 roku. To ze względu na to, że PiS deklarowało przeznaczenie na jego cel w 2020 roku niecałe 141 mln zł, a NIK wykazała, że w rzeczywistości wydano 181,8 mln zł. Trudno więc spodziewać się, jak naprawdę będą wyglądać koszty w 2022 roku, choć już te deklarowane robią ogromne wrażenie.

PiS potwierdziło bowiem w projekcie przyszłorocznego budżetu, że wydzielono rekordowe w historii aż 192 mln zł na jego poczet. Ile zostanie wydane naprawdę? Nie wiadomo. Pewne jednak, że poza Funduszem Kościelnym polski kler może liczyć na gigantyczne przelewy. Chociażby 1,5 mld zł rocznie, jakie kapłani dostają za prowadzenie lekcji religii w szkole. To już nawet TVP dostało 2 mld z budżetu, a ogląda je kilka milionów Polaków. Podczas gdy na religię chodzi w niektórych miastach zaskakująco mało młodych. Chociażby w Trójmieście to już jedynie 25,94% ogółu trójmiejskich uczniów.

Przemysław TERLECKI

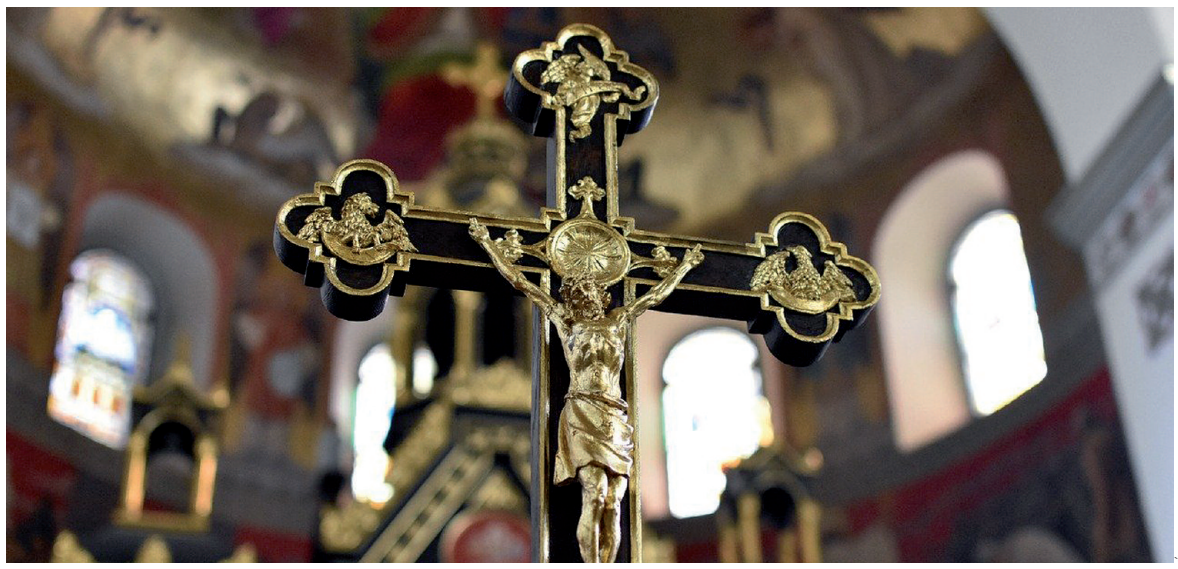

Źródło: pixabay.com

„Złote, a skromne”? Według Lewicy Kościół katolicki z budżetu dostaje w sumie nawet 1,8 mld zł rocznie.

Kiedy zaczyna się **sekta?**

– Kiedy ktoś musi zostać zabity, nie ma co się wahać. Po prostu to robisz, a potem zapominasz – mówiła beztrosko Sandra „Blue" Good, jedna z członkiń „Rodziny", kultu stworzonego przez Charlesa Mansona. Jak to się stało, że ten niski, niedbający o higienę mężczyzna z taką łatwością omotał młodych ludzi pokroju Sandry i to do tego stopnia, że okrzyknięto go później jednym z najokrutniejszych seryjnych morderców, chociaż sam nigdy nie zabił?

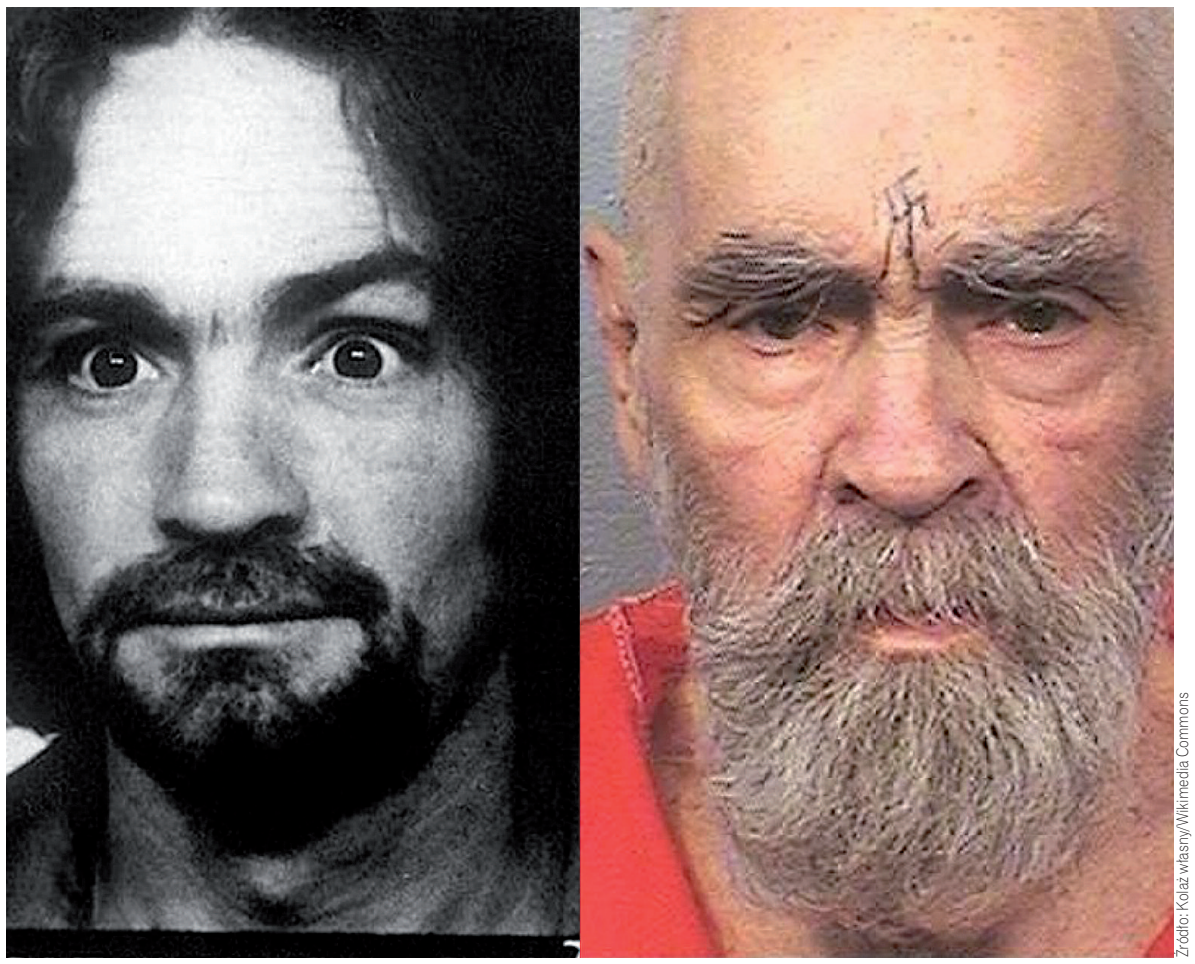

Źródło: Kolaż własny/Wikimedia Commons

Charles Manson używał technik psychomanipulacji, aby kontrolować swoich zwolenników

Im bliżej przyglądamy się poszczególnym grupom takim jak kult, sekta czy wspólnota religijna, tym wyraźniej dostrzegamy mniej lub bardziej niepokojące podobieństwa. Gdzie leży granica między nieszkodliwym i kochającym stowarzyszeniem a chaotyczną grupą skupioną na destrukcji? Rok temu były Świadek Jehowy Szymon Matusiak tłumaczył podczas konferencji dotyczącej psychomanipulacji, że sekta niszczy wierzenia, sposób zachowania, ludzką tożsamość i zastępują je nową. Kształtuje ludzi na obraz narzucony przez przywódców sekty. Znany psychiatra Robert Jay Lifton przedstawił w swoich dziełach typowe metody kontroli umysłu, do których należą m.in. kontrola środowiska, myślenia, przepływu informacji, mistycznych przeżyć i żądanie czystości.

Jesteśmy rodziną

Manson za pomocą narkotyków i swojej niespotykanej charyzmy stworzył z ludzi potrzebujących akceptacji i miłości niewolników wpojonych przekonań, gotowych zrobić wszystko dla swojego guru. Religijny fanatyzm podszyty rasizmem, przejaskrawiona wizja wolnej miłości i mantra „śmierć nie istnieje" stały się podwalinami moralności członków „Rodziny", którzy z łatwością popełniali coraz to bardziej zatrważające zbrodnie. Oddziaływanie Mansona było tak silne, że niektórym członkom nie pomogło ani więzienie, ani terapia.

– Czuję się bardzo zaszczycona, że go spotkałam i wiem, jak to brzmi dla ludzi, którzy myślą, że jest uosobieniem zła. Czy byłam zakochana w Charliem? Tak, o tak, och, nadal jestem – powiedziała Lynette „Squeaky" Fromme w specjalnym programie ABC News „Manson Girls".

5 września 1975 roku strzelała z pistoletu do prezydenta USA Geralda Forda, za co zresztą skazano ją na dożywotnie pozbawienie wolności. Swój czyn tłumaczyła pragnieniem zastraszenia głowy państwa i zwrócenia uwagi na kwestię ochrony środowiska. Chociaż od tragicznych wydarzeń związanych z „Rodziną" minęło blisko pół wieku, Fromme nie uważa, by Manson w jakikolwiek sposób nią manipulował. Nie dostrzega nawet tego, że Manson miał cel w nadawaniu przezwisk członkom swojego kultu. Lis Wiehl, autorka książki „Hunting Charles Manson: The Quest for Justice in The Days of Helter Skelter" przekonuje, że Manson, parodiując Boga, w subtelny sposób był w stanie kontrolować swoich wyznawców. Nadając im nowe imię, pozbywając się ich dat urodzin i rzeczy materialnych, stał się w ich oczach nowym Twórcą, początkiem nowej tożsamości.

Głuchy telefon nienawiści

Nowe imię, nowe życie, nowy światopogląd. Zamknięci na świat i siebie samych. Niespełna rok temu w artykule „Niezrozumiałe dla «Światusów»" przyglądaliśmy się bliżej Świadkom Jehowy, którzy pomimo gorliwych zaprzeczeń ze swojej strony, spełniają większość (jeśli nie wszystkie) kryteria charakteryzujące sektę. Jednakże, jeśli będziemy nieco bardziej dociekliwi niż dotychczas, może się okazać, że nasz rodzimy kościół katolicki również balansuje na granicy nieszkodliwego związku religijnego a grupy wysoko postawionych ludzi, którzy żerują na poczuciu winy swoich wiernych. Odważna teza?

> Obrzydza nas Manson. Pogardliwie spoglądamy na Świadków Jehowy. Wzruszamy ramionami na grzechy kościoła i nawet przez myśl nam nie przejdzie, że gdzieś po drodze w całym tym życiu w „zgodzie z Bogiem", mogliśmy się stać ofiarą technik psychomanipulacyjnych.

– Kościół poniża kobiety. Kościół jest seksistowski. Kościół nienawidzi, a potem dziwi się, że ktoś śmie mu zwracać uwagę. Dlaczego się na to zgadzamy? Dlaczego przymykamy oko na niewygodne absurdy zawarte w Biblii, a potrafimy ranić innych, cytując wybrane fragmenty? – pyta 22-letnia Magdalena. Po części za sprawą konserwatywnych dziadków, a po części za sprawą mamy co niedzielę brała udział we mszy świętej. Przyjęła komunię i bierzmowanie, jak przyznaje „niezbyt świadomie". Wychodziła z założenia, że przyjmując je, sprawi radość swoim bliskim. W wieku 17 lat zaczęła oddalać się od kościoła. Irytowało ją, że pseudowierzący ludzie, którzy nawet nie czytali Biblii, mówili jej jak ma żyć.

– Wydaje mi się, że ludzie tak naprawdę wierzą nie dlatego, że odczuwają to wewnętrznie, ale po prostu zostali tak wychowani. Tak naprawdę za wiele o tej religii nie wiedzą. Chociażby taki Stary Testament. Tam nie ma ładnych rzeczy – twierdziła dziewczyna. Przez tego typu tezy dochodziło do zgrzytów pomiędzy nią a jej mamą, która za bardzo przejmowała się opinią innych ludzi i unikała jak ognia wszelkiego odchodzenia od norm społecznych. Magdalena uważa, że jednym z największych ciosów wymierzonych jej mamie był coming out.

– Nie miałam problemu z tym, że kościół nie akceptuje mojej orientacji. Przekonywałam nawet moją byłą partnerkę, żeby chodziła ze mną na msze. Nie chciałam się zmieniać. Teraz też nie potrzebuję, ale wtedy czułam, że zawodzę moją mamę. Wszystkim. Tym, że logicznie patrzę na hipokryzje i manipulacje ze strony kościoła i tym, że się na to nie zgadzam. Nie chcę być lesbą, nie chcę być kobietą w ułomnym znaczeniu tych słów. Chcę być po prostu dobrym człowiekiem, a zasady kościoła mi to uniemożliwiają – mówiła Magdalena.

„Przynosisz nam wstyd"

Wiara i religia to zupełnie coś innego. Podstawową różnicą jest to, że ta pierwsza daje nadzieję, a druga często powoduje wyrzuty sumienia. 21-letniej Weronice, podobnie zresztą jak Magdalenie, całe życie towarzyszy poczucie winy. Rodzice Weroniki są bardzo religijni. W dzieciństwie wywierali na nią presję brania udziału we mszy, a nawet stosowali, podejrzewam, że wszystkim nam znany, „niewinny" szantaż na zasadzie „nie idziesz, nie ma komputera, żadnych słodyczy". Przez tego typu zabiegi dziewczyna czuła się zobowiązana do podtrzymywania chrześcijańskiego stylu życia, chociaż nie zawsze się z nim zgadzała.

– Nigdy nie rozumiałam koncepcji spowiedzi. Wymienianie swoich grzechów na klęczkach przed obcym mężczyzną, który, zanim odpuści ci winy, to cię jeszcze zruga kilkukrotnie za nieposłuszeństwo wobec Boga? Podziękuję. Czy jest o tym wzmianka w Biblii? Wątpliwe – mówiła Weronika. Jeszcze więcej wątpliwości wywołała u niej kwestia aborcji i seksu przedmałżeńskiego. Z biegiem lat zaczęła rozgraniczać to, co podpowiada jej własne sumienie, od tego, do czego przekonuje ją kościół. Przestała krytycznie patrzeć na decyzje innych osób, bo zdaje sobie sprawę, że sama nie wie, co by zrobiła na ich miejscu. Nadal wierzy w Boga, ale nie jest już tak częstą uczestniczką niedzielnej mszy. Nie podoba jej się to, że politycy zasłaniają się religią, jak i to, że kościół nie płaci podatków. Jest już dorosła i nie boi się o tym mówić. Natomiast nadal czuje nieprzyjemny skurcz w żołądku, gdy rodzice raczą ją upomnieniami typu: „nie tak cię wychowaliśmy" czy „dziadek nie byłby z tego dumny".

A co po końcu świata?

Obrzydza nas Manson. Pogardliwie spoglądamy na Świadków Jehowy. Wzruszamy ramionami na grzechy kościoła i nawet przez myśl nam nie przejdzie, że gdzieś po drodze w całym tym życiu w „zgodzie z Bogiem", mogliśmy się stać ofiarą technik psychomanipulacyjnych. Może nienawiść do osób LGBTQ+ tak naprawdę jest nieuzasadniona, a może to rzeczywiście zbieg okoliczności, że za każdym razem, gdy w kościele zbiera się na tace, wierni śpiewają melodyjną pieśń: „Wszystko tobie oddać pragnę". Może to przypadek, że kościół lubi zerkać na dłonie rządzących, ale od płacenia podatków umywa ręce. Jak się w tym wszystkim odnaleźć, nie zatracając się w osądach?

– Według mnie każda wspólnota czy religia jest potrzaskana, nie potrzebuję się z nimi utożsamiać, co nie oznacza, że zabraniam tego robić innym. Każdy powinien mieć wolność wyboru bez poczucia, że jeśli wybiorą „źle", to spotka ich ostracyzm. Po prostu bądźmy ludźmi – odpowiada Magdalena.

Katarzyna RACHWALSKA

Współczesny **heroizm**

W 2015 roku, gdy rząd Zjednoczonej Prawicy przejmował stery w Polsce, jego flagowym postulatem było wprowadzenie Programu 500+. Miał on nie tylko poprawić sytuację finansową polskich rodzin, zwłaszcza tych wielodzietnych, ale również doprowadzić do wzrostu liczby urodzeń. Tak się nie stało, a przed rokiem usłyszeliśmy dość jasne słowa: „Urodzenia diametralnie nie wzrosły i nie wzrosną", które wypowiedziała Barbara Socha w Radiu Wnet.

Źródło: fot. Aleksander Rajewski/Gazeta Studencka „Fenestra"

Prawa kobiet z roku na rok są coraz bardziej ograniczane

Ówczesna wiceszefowa resortu rodziny, pracy i polityki społecznej i pełnomocniczka rządu ds. demografii jako jedna z pierwszych polityczek reprezentujących obóz rządzący w słowa ubrała to, co pokazują statystyki. Polki, kuszone wizją dostania co miesiąc 500 złotych na dziecko, nie zaczęły masowo zachodzić w ciążę. Oczywiście – o tym, że nie będzie drastycznego wzrostu urodzeń po wprowadzeniu rządowego programu dużo wcześniej mówili eksperci. Ale też nie zapominajmy, że nasz rząd z ekspertami nie jest za pan brat. Otwarcie mówił o tym we wrześniu 2020 roku Radosław Fogiel – wicerzecznik PiS: „nie zatrudniamy ekspertów, bo jak zatrudnialiśmy ekspertów to nie chcieli oni realizować naszego programu".

Coraz mniej

Spójrzmy więc na dane, które prezentuje Główny Urząd Statystyczny – te nie pozostawiają złudzeń. W lipcu 2021 roku urodziło się zaledwie 28 tysięcy dzieci. To aż o 15% mniej niż rok wcześniej w tym samym miesiącu. Dodajmy, że w ciągu dwunastu miesięcy od lipca 2020 do lipca 2021 roku urodziło się niespełna 340 tysięcy dzieci. To najgorszy wynik od co najmniej 70 lat.

Patrząc na wykres, który przygotował portal bankier.pl na podstawie danych prezentowanych przez GUS widać jeszcze jedno – spada liczba urodzeń, a drastycznie wzrasta liczba zgonów. Tu nie mamy się czemu dziwić. Nasze społeczeństwo się starzeje, a pandemia także zbiera swoje żniwa. To jednak nie jedyne przyczyny, dla których Polki nie chcą rodzić.

Ratowanie rodzin

Zacznijmy od kwestii finansów. Choć słyszeliśmy niedawno, że cud gospodarczy w Niemczech jest niczym wobec tego, który mamy w Polsce, to dane tego nie potwierdzają. Moglibyśmy sytuację opisać krótko: jest drogo, a będzie coraz drożej. Oprócz cen w sklepach i na stacjach benzynowych, martwi jeszcze jedno – wzrost ubóstwa w Polsce. W kwietniu 2015 roku tygodnik „Wprost" opublikował bardzo wymowną okładkę. Zdjęcie zapłakanego dziecka opisano hasłem: „Nędza ma twarz dziecka". W tekście mogliśmy przeczytać: „Największy powód do wstydu III RP to bieda dzieci. I nie chodzi tu o żadne tzw. patologiczne rodziny. W skrajnej nędzy żyje u nas ponad 700 tys. najmłodszych." Jak więc jest dzisiaj, gdy rządzi Zjednoczona Prawica, która za wartość stawia sobie ochronę rodzin? W raporcie przygotowany przez Polski Komitet Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu czytamy, że w 2020 roku o 378 tysięcy wzrosła liczba osób żyjących w skrajnym ubóstwie.

Dane, które podaje GUS można podsumować krótko. Obecnie „co 20. Polak żyje w skrajnym ubóstwie". Dodajmy również, że w odpowiedzi na zapytanie senatora Krzysztofa Brejzy z Koalicji Obywatelskiej GUS poinformował, że od 2016 roku wzrósł odsetek skrajnego ubóstwa z 4,9% do 5,2%. Wzrosło także ubóstwo wśród dzieci oraz seniorów.

Być może nasi kochani rządzący zapomnieli, że obrona rodziny, to nie opowiadanie bzdur o „ideologii LGBT", „gender" czy pigułkach na zmianę płci, które są rozdawane w szkołach.

Koszty rosną

Liczby znów nie kłamią – mimo programu 500+, mówienia o ochronie dzieci i rodziny oraz liczby dziecka w trzyosobowej rodzinie w ciągu ostatnich sześciu lat wzrósł o około 23%.

Postawmy sprawę jasno – rozsądny człowiek nie zdecyduje się na dziecko, na którego wychowanie go nie stać. Młodzi Polacy, często z wieloletnim kredytem mieszkaniowym, nie chcą wpędzać siebie i ewentualnych dzieci w spiralę biedy. Ale nie tylko bieda czy obawa przed gorszą kondycją finansową to duży problem. Kolejnym jest obawa przed utratą zdrowia, a nawet życia, która dzisiaj towarzyszyć może każdej kobiecie chcącej urodzić dziecko.

Lekarz – a po co?

W październiku prowadząca swoje konto na Instagramie oraz Twitterze położna (Położna bez uprzedzeń) opublikowała post, w którym przytoczyła historię jednej z pacjentek: „Zgłosiła się kobieta, w moim wieku. Krwiste upławy, ból w dole brzucha, obrzęk nóg, trudności w oddawaniu moczu. Nigdy nie miała robionej cytologii. Najbliższy ginekolog w promieniu 70km. Diagnoza? Rak szyjki macicy. Nie wiedziała o szczepieniu na HPV." Na kobietę posypały się gromy, że wymaga cudów, jak dostęp do ginekologa w każdej wiosce. Atakowano ją, bo dodawała, że takie sytuacje są efektem braku edukacji seksualnej – a ta dla wielu komentujący sprowadza się do mówienia młodym ludziom „róbta co chceta".

> W obecnej sytuacji prawnej oraz w kraju, gdzie nowym obywatelskim projektem jest chęć zrównania aborcji z morderstwem, kobiety zwyczajnie się boją. O strachu, który odczuwają pacjentki wielokrotnie mówili lekarze.

Brak edukacji seksualnej, a także brak wiedzy o tym, jak świadomie planować rodzicielstwo to kolejne zmory Polek. Podobnie jak restrykcyjne prawo, które wiąże ręce lekarzom, a kobiety wpędza w ogromny stres. Wystarczy wspomnieć o niedawnej tragedii, która dotknęła Panią Izabelę. Kobieta wiedziała, że grozi jej śmierć, bała się, ale lekarze zamiast nieść jej pomoc, czekali. Wystarczy przytoczyć jej dramatyczne SMS-y, które pisała do rodziny: „Nie mogą nic zrobić bo by było ze specjalnie", „Na razie dzięki ustawie aborcyjnej. Muszę leżeć. I nic nie mogą zrobić". Lekarzy można osądzić za błąd medyczny. Gdyby zareagowali w obecnej Polsce mogliby być posądzani o mord. Dzisiaj są takimi samymi ofiarami, jak kobiety.

Ciążowy wyrok

W obecnej sytuacji prawnej oraz w kraju, gdzie nowym obywatelskim projektem jest chęć zrównania aborcji z morderstwem kobiety zwyczajnie się boją. O strachu, który odczuwają pacjentki wielokrotnie mówili lekarze. Ich wypowiedzi zebrał portal cowzdrowiu.pl: „Kobiety obawiają się, że jeżeli będą musiały zmierzyć się z wadami płodu, nie uzyskają żadnej pomocy" lub „Widzimy, że kobiety dziś boją się zachodzić w ciążę. Lekarze zaś muszą się mierzyć z sytuacją, kiedy po przekazaniu trudnych informacji o wadach płodu, nie mogą dalej pomóc, bo nie pozwala im na to prawo". Kolejna z lekarek dodawała: „Kobiety boją się momentu, w którym zaczną czuć ruchy dziecka wiedząc, że poród nie przyniesie szczęśliwego finału. Bo chociaż medycyna zna możliwości, by takim kobietom pomóc, obecnie nikt im tego nie oferuje".

Często słyszę, że o aborcji należy dyskutować, że trzeba myśleć, co zrobić, by Polki rodziły. Pojawiają się pomysły krzewienia „cnót niewieści". Słowa, że rodzimy za późno, by mieć więcej niż jedno dziecko. Tyle, że my nie potrzebujemy kolejnej dyskusji – najlepiej prowadzonej w studiu telewizyjnym i to tylko w męskim towarzystwie. My potrzebujemy realnych działań. Dzisiaj w Polsce kobieta umiera, bo lekarz ma związane ręce. Dzisiaj w Polsce ciąża to nie tylko strach przed biedą, ale to strach przed traumą, cierpieniem, a nawet śmiercią. Dzisiaj oczekiwanie, że Polki będą rodzić, to oczekiwanie heroizmu, którego nikt nie ma prawa od nas wymagać.

Aleksandra KONIECZNA

Każda zmiana zaczyna się **od jednej litery**

Pilotka, inżynierka, strażaczka – żeńskie końcówki działają na wielu niczym czerwona płachta na byka. Wielu uważa je za wymysł współczesności. Tymczasem korzystanie z feminatywów sięga początków XVI wieku. Czym są i dlaczego warto wprowadzać je do naszego codziennego języka?

Źródło: fot. Daniel Mirończyk-Leśniak

Kampania społeczna „Tip-top Krok w stronę feminatywów" powstała na UAM

Feminatywy to nic innego jak żeńskie formy rzeczowników, potocznie nazywane „żeńskimi końcówkami". Ich stosowanie w życiu codziennym sprawia, że kobiety stają się bardziej widoczne w przestrzeni publicznej, dzięki czemu stawiane są na równi z mężczyznami wykonującymi te same zawody i pełniącymi te same funkcje społeczne.

Stosowanie feminatywów wpływa również na wzrost pewności siebie oraz poczucia własnej wartości, zwłaszcza u młodych kobiet. Poszerza możliwości, świadomość i zakres aspiracji małych dziewczynek, jeśli te obcują z nimi na co dzień. Język inkluzywny sprzyja kształtowaniu się równości, co daje podstawy do zwiększenia szacunku dla różnorodności w każdej sferze życia, nie tylko tej związanej z językiem i komunikacją.

Kampania społeczna Tip-top

Z inicjatywy studentów i studentek, doktorantów i doktorantek UAM powstała kampania społeczna „Tip-top Krok w stronę feminatywów". Ma ona na celu popularyzowanie języka równości. Akcja prowadzona jest pod matronatem zespołu Gdy Nauka Jest Kobietą. – Tuż przed pandemią, w listopadzie 2019 roku, zespół zorganizował konkurs studencki popularyzujący ideę języka równościowego ze względu na płeć w postaci różnych form grafiki użytkowej. Chcieliśmy, aby w trakcie pandemii cel konkursu nadal był realizowany, a świadomość na temat znaczenia feminatywów w języku używanym na co dzień – zwiększana. Tak narodził się pomysł na stworzenie filmu interaktywnego – mówi Beata Użarowska, doktorantka WNPiD UAM oraz jedna z inicjatorek projektu.

Film ma formę interaktywną, w której widzowie mogą w bezpośredni sposób decydować o losach bohaterki, towarzysząc jej już od momentu narodzin aż do rozwoju kariery zawodowej. Podejmowanym przez nas

Koniec z kryptoreklamą w internecie

Nieoznakowane reklamy w social mediach to chleb powszedni. Kto korzysta chociażby z Instagrama, ten doskonale o tym wie. Zapowiada się jednak na to, że wkrótce nadejdzie wielka zmiana i kryptoreklamy nie będą gościły na naszych feedach. Wszystko dlatego, że Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów wziął na tapet sprawę influencer marketingu. Efekty tego przedsięwzięcia są już widoczne na niektórych portalach społecznościowych.

Źródło: Jenny Ueberg/ unsplash.com

Polscy influencerzy łamią prawo nie oznaczając wszystkich reklam

Influnencerzy mają spore zasięgi i wpływają na zachowania swoich odbiorców. Dla marketingowca byłoby wręcz grzechem z tego nie skorzystać. Nie ma więc co się dziwić, że ostatnimi czasy jesteśmy zalewani reklamami w social mediach. Słynne „Kochani, często pytacie mnie o to, czego używam" stało się wręcz memem. Czasami naprawdę można pośmiać się z tego, co specjaliści od reklamy każą powiedzieć influencerom. Gorzej jest jednak w momencie, gdy odbiorcy nie wiedzą, czy dany post to reklama, czy szczera recenzja danego produktu. Niestety w polskim intrenecie nieoznakowane treści reklamowe są plagą. Firmy marketingowe w swoich wytycznych dotyczących współprac często podkreślają, że tekst promocyjny ma być nieoznaczony. Tłumaczą to tym, że reklama wygląda wtedy bardziej naturalnie i jest mniej odpychająca. Choć w Polsce kryptoreklamy są niedozwolone, to infuencerom nie przeszkadza to w podejmowaniu takich współprac. Do tej pory uchodziło im to na sucho, jednak niedługo może się to zmienić.

Sprawą nieoznaczonych reklam w interencie zainteresował się UOKiK. Na razie nie ma większych fajerwerków, bo prezes tego urzędu wszczął dopiero postępowanie wyjaśniające. Influencerzy z największymi zasięgami oraz agencje reklamowe mogą spodziewać się wezwań z urzędu, w sprawie udzielenia informacji na temat współprac. Niektóre agencje dostały powiadomienie o postępowaniu już w połowie października. Według wytycznych internetowi twórcy i firmy ich reprezentujące muszą udzielić informacji na temat współprac poprzez przedstawienie umów zawartych między stronami. UOKiK dzięki tym informacjom ma przyjrzeć się bliżej warunkom influencer marketingu. Urząd chce poznać między innymi zasady dotyczące oznaczania treści sponsorowanych. Wygląda to bowiem różnie. Wiele firm rezygnuje całkowicie z oznaczenia, co jest niezgodne z prawem. Niektóre marki przystają na przykład na umieszczenie hasztagu z dopiskiem „współpraca" na szarym końcu postu.

Po weryfikacji zebranych materiałów i rozeznaniu się na rynku influencer marketingu urząd ma wydać wytyczne dotyczące publikowania reklam w social mediach. Reklamodawcy mają przecież wpływ między innymi na to, jakie słowa mają być użyte w materiale. Nie może więc dochodzić do sytuacji, gdzie twórca publikuje recenzję produktu na zlecenie danej marki bez powiadomienia o tym swoich obserwujących. Dzięki zaproponowanym rozwiązaniom sytuacja z treściami sponsorowanymi na Facebooku, Instagramie czy YouTube ma się znacznie poprawić. Zasady mają być przejrzyste głównie dla odbiorców treści. Tak, żeby od początku mieli świadomość tego, czy dany materiał jest sponsorowany. Jeśli okaże się, że wytyczne nie są wystarczające, a luk w prawie do-

wyborom często akompaniuje dyskomfort. Dyskomfort, który nie byłby obecny, gdyby ludzie z otoczenia bohaterki stosowali feminatywy.

Realny problem czy wymysł feminizmu?

Na potrzeby tego artykułu przytoczę pewną zagadkę. „Ojciec i syn jechali samochodem. Samochód uległ wypadkowi. Ojciec zginął na miejscu, a ciężko rannego syna zawieziono natychmiast do szpitala. W sali operacyjnej chirurg patrzy na niego i mówi: «Nie mogę go operować. To mój syn!» Kim jest chirurg?”. Drugim ojcem? A może po prostu adopcyjny ojciec zginął, a chirurg jest tym biologicznym? Nic bardziej mylnego, bowiem wspomnianym chirurgiem jest matka chłopca. Ta z pozoru prosta zagadka pokazuje złożoność problemu, jakim jest nieużywanie żeńskich końcówek.

Warto wspomnieć, że feminatywy są obecne w języku już od XVI wieku. Nie jest to więc żadnego rodzaju nowomowa. Były i są obecne. Jednak nie sposób nie zauważyć, że przez lata sukcesywnie je wypierano, szczególnie w czasach PRL-u. Wtedy nastąpiła znaczna maskulinizacja języka. Zaczęto odchodzić od używania form z podziałem na męskie czy żeńskie i określać wszystkich jednym mianem – tym męskoosobowym. Kobiety, choć w tamtych latach coraz bardziej aktywne i widoczne w przestrzeni publicznej, językowo stały się niewidoczne. Pierwotnym celem było zapewnienie wszystkim równości, pozbawiając wykonywanych zawodów płci. Jednak gramatycznie nie istnieje rodzaj nijaki określający zawody, dlatego ostatecznie za ogólny przyjęto ten męski. W ten, można powiedzieć niepozorny, sposób narodziła się nierówność językowa.

Obecnie feminatywy wracają do łask, a społeczeństwo staje się coraz bardziej świadome ich wagi w dążeniu do równości płci. – Niepopularne żeńskie formy wyrazów, w szczególności niektórych zawodów i funkcji, od paru lat ponownie pojawiają się w przestrzeni publicznej, co rodzi potrzebę edukacji w tym zakresie. Język jest żywy. Ewoluuje. Zmiana się dzieje, ponieważ istnieje taka społeczna potrzeba – dodaje Beata Użarowska.

Wychodzi na to, że problem tkwi przede wszystkim w mentalności i wychowaniu, bowiem to dorośli toczą spór o nic. Dzieci nie mają trudności z posługiwaniem się językiem równościowym i nazywaniem rzeczy po imieniu. Jest to dla nich czymś naturalnym. – Dzieci, które stosują feminatywy, są bardziej pewne siebie, czują satysfakcję i dumę ze swoich osiągnięć, co wpływa na ich poczucie tożsamości i poziom samorealizacji – informuje inicjatorka projektu Tip-top. Niezmiernie ważne jest to, aby pokazać każdemu, że ma wybór, że istnieją inne formy. Nie wolno niczego narzucać. Wystarczy edukować. Każdy bowiem powinien mieć możliwość wyboru formy odpowiedniej dla siebie.

Izabela SULOWSKA

---

tyczącym kryptoreklam jest zbyt dużo, to UOKiK będzie starał się o wprowadzenie nowych przepisów. Wtedy prawo będzie wzorowane na rozwiązaniach funkcjonujących w Unii Europejskiej.

Obecnie polskie prawodawstwo w tym zakresie wydaje się wystarczające. Urząd może zwrócić się przecież do wszystkich przedsiębiorców, w tym tych działających w intrenecie, w sprawie wyjaśnienia niepokojących kwestii rynkowych, jakimi są kryptoreklamy. Narzędzia, które może wykorzystać UOKiK są dość obszerne. Prócz wszczęcia postępowania wyjaśniającego urząd ten może postawić zarzuty, a nawet wydać decyzję o charakterze sankcyjnym. Influencerów do zmiany postępowania przekonuje jednak bardziej możliwość poniesienia strat. Kary finansowe za niedostarczenie informacji prezesowi UOKiK czy utrudnianie postępowania sięgają 50 milionów euro. Za stosowanie kryptoreklamy twórcy mogą ponieść odpowiedzialność finansową do 10% rocznego obrotu. Wszystko dlatego, że nieoznaczanie reklam według polskiego prawodawstwa to po prostu nieuczciwe praktyki rynkowe naruszające zbiorowe interesy konsumentów.

Obecnie można stwierdzić, że straszak w postaci kary finansowej podziałał. Wielu influencerów zaczęło oznaczać posty sponsorowane. A my w końcu możemy przekonać się, ile tak naprawdę postów powstało bez współpracy ze znanymi markami. Rzeczywistość może okazać się dla nas rozczarowująca. Na wielu profilach większość treści (o ile nie wszystkie) zostały opublikowane, bo zapłaciły za to firmy. Niemniej jednak dobrze, że w końcu jako obserwujący możemy mieć pewność co do tego, czy dany post jest reklamą czy nie.

> Sprawą nieoznaczonych reklam w interencie zainteresował się UOKiK. Na razie nie ma większych fajerwerków, bo prezes tego urzędu wszczął dopiero postępowanie wyjaśniające. Influencerzy z największymi zasięgami oraz agencje reklamowe mogą spodziewać się wezwań z urzędu, w sprawie udzielenia informacji na temat współprac.

Olimpia OLIK

Nasz **drogi rząd**

Źródło: unsplash.com

Ceny wciąż idą w górę

Inflacja w Polsce po raz pierwszy od 20 lat przekracza próg 6% w skali roku. Pomimo tego rząd Mateusza Morawieckiego udaje, że wszystko jest w porządku. Członkowie Nowoczesnej problem dostrzegają i, co więcej, w ramach akcji „Drogi premierze” zachęcają do dzielenia się zdjęciami swoich paragonów. Wszystko po to, żeby premier zobaczył jak bezczynność rządu wpływa na codzienne życie Polaków.

Inflacja rośnie na potęgę. Według ekonomistów do końca obecnego roku inflacja może przekroczyć 7%. Jednakże nie trzeba być specjalistą w tej dziedzinie, żeby dostrzec drastyczny wzrost cen w ostatnich miesiącach. Robiąc zwykłe zakupy w sklepie czy też tankując samochód, sami możemy przekonać się o wysokości inflacji. Przy identycznej kwocie do koszyka wkładamy zdecydowanie mniej produktów w porównaniu z ubiegłym rokiem.

Wszyscy zdają się zaniepokojeni obecną sytuacją. Oczywiście z wyjątkiem rządu na czele z premierem. Władze przez długi czas zdawały się ignorować problem. Premier Morawiecki na konferencjach zapewniał, że w Polsce sytuacja wcale nie jest zła. Jako argument często podawał cenę paliwa, która w stosunku do innych krajów w Unii Europejskiej jest w miarę niska. Rozumiem, że to może być powód do dumy dla premiera, ale to nie zmienia faktu, że za paliwo i tak musimy zapłacić zdecydowanie więcej niż miesiąc temu. Jednakże samo „głędzenie” na temat odrealnienia Mateusza Morawieckiego na nic się nie zda. Trzeba działać. Zrozumieli to członkowie partii Nowoczesna, którzy zdecydowali się „uświadomić” premiera o skali problemu inflacji. W ramach akcji „Drogi premierze” zachęcili do wysyłania Mateuszowi Morawieckiemu paragonów z codziennych zakupów. Tak, aby on też mógł na własne oczy zobaczyć, jak w ostatnim czasie wzrosły ceny.

Członkowie Nowoczesnej zadbali o to, żeby premier mógł przyjrzeć się rachunkom bez najmniejszego problemu. Przedstawiciele partii (w tym między innymi prezes Nowoczesnej – Adam Szłapka) zademonstrowali w Warszawie zdjęcie paragonu z zakupów spożywczych, którego kwota wynosiła ponad 100 zł. Na rachunku możemy zobaczyć produkty takie jak: jajka, makaron, pomidory czy mleko. Premier Mateusz Morawiecki mógł także przekonać się, za jaką cenę można obecnie kupić chleb. Ten paragon nie był jedynym, który miał trafić do szefa rządu. Partia Nowoczesna zachęcała, aby inni także dzielili się na Twitterze swoimi rachunkami z zakupów. Przedstawiciel młodzieżówki Nowoczesnej zapraszał do udziału w akcji wszystkich, niezależnie od preferencji politycznych.

Cel mamy bowiem wszyscy jeden – chcemy, żeby rząd zaczął reagować na wzrost cen. Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Zapewnienia premiera Morawieckiego o tym, że wszystko jest pod kontrolą, już nie wystarczą. Dlatego członkowie Nowoczesnej zwracali się do rządu, aby wykorzystał wszystkie możliwe instrumenty do walki z inflacją. Pierwszym krokiem jest wywarcie wpływu na decyzję Rady Polityki Pieniężnej o podniesieniu stóp procentowych. To polskiemu rządowi udało się zrealizować dopiero na początku listopada. Drugim krokiem może być chociażby obniżenie stawek podatku VAT i akcyzy. W przypadku paliwa zmiany te w znacznym stopniu wpłynęłyby na zmniejszenie cen. Akcyza stanowi w końcu dużą część ceny benzyny. Jednak dla rządu Morawieckiego ta opcja jest nieopłacalna. Po obniżeniu podatków do Skarbu Państwa wpłynie znacznie mniej środków.

Czy w takiej sytuacji jest szansa na reakcję naszego drogiego rządu?

> Premier Morawiecki na konferencjach zapewniał, że w Polsce sytuacja wcale nie jest zła. Jako argument często podawał cenę paliwa, która w stosunku do innych krajów w Unii Europejskiej jest w miarę niska. Rozumiem, że to może być powód do dumy dla premiera, ale to nie zmienia faktu, że za paliwo i tak musimy zapłacić zdecydowanie więcej niż miesiąc temu.

Olimpia OLIK

„Każdego dnia mamy wiele **możliwości**"

Od tworzenia podstawowych animacji przez fotografię i filmy do 440 tysięcy subskrybentów na kanale YouTube. Choć w przestrzeni internetowej działa od ponad 10 lat, to jeszcze nie powiedział ostatniego słowa. W rozmowie z Danielem Mirończykiem–Leśniakiem, Igor „Wielmożny" Szwęch opowiada o pracy – filmowca, fotografa i YouTubera.

Źródło: fot. Piotr Tomaszewski

Igor Wielmożny na planie teledysku do „WiLD"

W 2011 roku założyłeś kanał na platformie YouTube. Jak na przestrzeni tych lat zmieniło się twoje postrzeganie tego medium? Dostrzegasz jakieś szczególne zmiany?

– Kanał, który założyłem w 2011 roku nie był moim pierwszym. Poprzedni dotyczył przede wszystkim zabawy – tworzenia animacji 2D, animacji poklatkowych, a nawet animacji 3D. Potem odkryłem film i właśnie w roku, o którym wspominasz założyłem swój drugi kanał, na którym do teraz publikuję różne treści. Płynnie przeskakiwałem między różnymi formami ekspresji i odkryłem „Wielki Mix YouTuba". Autor tego materiału stworzył swój film krótkometrażowy. Pomyślałem wtedy: „Wow! To właśnie chcę robić". Od tamtej pory siedzę w tematyce filmowej. Patrząc na samą platformę z perspektywy lat – jest to miejsce zupełnie inne. Mam wrażenie, że kiedyś ludzie inaczej postrzegali działalność twórców internetowych. Teraz wszystko stało się bardziej komercyjne. Na początku 2015 roku dosyć mocno zaczęły prosperować sieci patrnerskie, które zrzeszały youtuberów – wtedy pojawiły się duże kontrakty, firmy i szeroko pojęty product placement w co drugim materiale u większości twórców. To wszystko sprawiło, że treści stały się bardziej odpowiednie dla reklamodawców, przez co było coraz trudniej o wolność ekspresji i tworzenie dla czystej zabawy. Był to dobry biznes, a skoro były dobre pieniądze, to nikt nie chciał tego psuć. Dlatego też bardzo ograniczyłem treści, którymi dzielę się na swoim kanale.

W ciągu tych 10 lat działalności internetowej twoje filmy zostały wyświetlone ponad 20 milionów razy. Jakie emocje ci towarzyszą – wiedząc, że treści, którymi się dzielisz, są ważne dla tak wielu osób?

– Na samym początku było to niesamowite doznanie. Tak naprawdę te 20 milionów jest z filmów, które są publiczne. Większość materiałów uznałem za zbyt prywatne i zachowałem je tylko dla siebie. W tej chwili, kiedy patrzę na statystyki pod filmami – chociaż bardzo rzadko mi się to zdarza – to nie widzę tam nic innego oprócz liczb. Kiedyś cieszyło mnie każde pojedyncze wyświetlenie, z czasem, kiedy wyświetleń robiło się coraz więcej – pojawiła się też pogoń za wielkimi liczbami. To chyba zabiło moją wewnętrzną radość z samego tworzenia i zaczęło się „youtubowanie". Teraz kiedy moje materiały pojawiają się znacznie rzadziej, bardzo doceniam każdy komentarz, który się pojawia. Czuję, że to wciąż ma wpływ na konkretne osoby i znacznie częściej poznaję je w realnym świecie. Zdarzają się sytuacje, że ktoś mnie spotka i opowiada, że widział moje filmy. Bardzo cieszy mnie fakt, że dużo takich osób przyznaje się do tego, że byłem dla nich inspiracją do stworzenia czegoś własnego. Czegoś, czym mogą zajmować się do teraz, że w jakimś stopniu odegrałem swoją rolę pomagając im odnaleźć swoją pasję. To jest w tym wszystkim dla mnie najcenniejsze.

Dlaczego warto tworzyć autorskie treści?

– Jeżeli można coś zrobić, to fajnie skorzystać z takiej możliwości. W innym przypadku człowiek się marnuje. Każdego dnia mamy wiele możliwości, ale to jest kwestia ambicji. Myśli, którą dopuścimy do głosu, a ona nas już popchnie do działania. Znam wiele osób, które mówią o swoich planach, których finalnie nie realizują. Zazwyczaj kończy się na ciekawych pomysłach. Chodzi o to, żeby działać, stworzyć chociaż jedną rzecz. W konsekwencji pojawią się kolejne kreatywne projekty. To będą efekty tej jednej, wcześniejszej decyzji. Ja zaczynałem od bawienia się plasteliną i aparatem, a teraz siedzimy i rozmawiamy o tym, co działo się przez kolejne lata.

Źródło: fot. Piotr Tomaszewski

Po lewej stronie Daniel Mirończyk-Leśniak po prawej Igor Wielmożny na planie teledysku „WiLD"

Kiedy zrozumiałeś, że to, czym dzielisz się ze swoimi odbiorcami, stanie się zajęciem na pełen etat?

– Nie zakładałem innej drogi. Kiedy odkryłem YouTuba i to, ile daje mi radości, wiedziałem, że będę robił to przez całe życie. W tamtym czasie „całe życie" to była odległa przyszłość. Nie brałem nawet pod uwagę, że mogę robić coś innego. To właśnie tutaj czułem energię i wiedziałem, że mam duże pole do popisu. Nigdy nie traktowałem tego jak chwilową zajawkę. To już wtedy było moim podwórkiem, na którym chciałem robić swoje rzeczy.

Czy Poznań jest dobrym miejscem do artystycznego rozwoju?

– Poznań w stosunku do Krakowa, Trójmiasta czy Warszawy, wydaje się być dosyć kameralny. Jeśli, ktoś chce tworzyć autorskie projekty, które nie ulegną komercjalizacji, to Poznań jest do tego idealnym miejscem. Dużo rzeczy rozgrywa się na płaszczyźnie lokalnej. Ludzie mocno skupiają się tutaj na swoich pasjach. Wychodząc na spacer na Jeżycach mijam wiele wspaniałych miejsc współtworzonych przez świetnych ludzi. Mam wrażenie, że

tutaj ludzie wkładają całe serce w to, co robią. Takich miejsc w Poznaniu jest wyjątkowo dużo, dlatego warto rozwijać się właśnie tutaj.

Jakie są twoje największe artystyczne marzenia?

– Moim największym marzeniem, choć odległym jest muzyka. Zanim zacząłem tworzyć animacje i filmy, muzyka odkrywała ważną rolę w moim życiu. Zawsze chciałem grać na wielu instrumentach m.in. saksofonie, gitarze czy pianinie, ale nie miałem wystarczająco czasu na naukę. Często odkładam pewne rzeczy, wiedząc, że do nich wrócę w przyszłości. Chciałbym więc stworzyć kiedyś kompletny album, w którym miałbym pełne pole do wyrażenia własnej ekspresji przez dźwięki, teksty i klipy.

Czy są jakieś dzieła artystyczne lub twórcy, którzy odcisnęli piętno na twojej działalności?

– Jest ich zbyt wielu. Każdy twórca, którego poznawałem i poznaję, ukazuje mi swoją historią pewien proces, który musiał przejść. Drogę, którą podążał, aby stworzyć swoje dzieło. Przez to też dostrzegam, że ja jestem jeszcze na samym początku. Bardzo cieszy mnie fakt, że moje życie będzie cały czas nie do przewidzenia pod względem artystycznym. Wiem, że chcę dalej tworzyć i to mogą być najróżniejsze rzeczy: od filmu, po fotografię czy właśnie muzykę. Jeśli chodzi o postać, która teraz mocno mnie inspiruje, to jest to z pewnością Charlie Chaplin. On jest dla mnie odkryciem roku. Przez długi czas nie zagłębiałem się w historię tej postaci. Teraz kiedy zapoznaję się szczegółowo z jego twórczością, odnoszę wrażenie, że to mogłaby być moja bratnia dusza.

Przed czym mógłbyś ostrzec początkujących twórców, którzy znaczną część swojego życia zawodowego i prywatnego chcą poświęcić mediom społecznościowym?

– Można ostrzegać ludzi przed wieloma rzeczami. Niestety wszelkie błędy i niebezpieczeństwa są częścią tego, co musi przejść każdy twórca. Najważniejsze jest jednak to, aby nie zatracić siebie. Im większe rzeczy się tworzy, tym większa spoczywa na nas odpowiedzialność. Wszystko to, co wychodzi spod naszych rąk, jest bacznie obserwowane przez ludzi. Niektórzy wolą sugerować się i podążać za opinią innych, przez co początkowo autorska twórczość staje się w rezultacie zbiorowym dziełem. Jest pozbawiona tej ważnej indywidualności. Wydaje mi się, że osoby, które chcą dzielić się swoimi projektami i treściami, powinny mieć w tym swój własny cel i mierzyć się z efektami. Po prostu nie warto się zatracać, jeśli wiemy, że na dłuższą metę może to nas kosztować zbyt wiele.

Raper młodego pokolenia Asthma w jednym ze swoich utworów rapował „Zamiast miłości, tyle nienawiści wokół. Czy w tej sytuacji jeszcze da się stać z boku? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem w szoku". Jak odniósłbyś się do tych słów w odniesieniu do krzywd, które wyrządzają społeczeństwu poszczególni politycy i aktywiści?

– Tak długo, jak to było tylko możliwe, starałem się trzymać sprawy polityczne jak najdalej od siebie. Niestety obecnie nie jest to wykonalne. To, co się dzieje, wpływa na zbyt wiele aspektów mojej codzienności. Choć nadal te rzeczy nie grają tak kluczowej roli, to jednak bardziej odczuwam frustrację z bezsilności. Zawsze traktowałem politykę jako pewną grę, która trafia do konkretnych ludzi. Politycy to przede wszystkim osoby, które chciały się w niej znaleźć. Ich charaktery i życiowe ambicje skierowały ich właśnie do Sejmu, Senatu, czy konkretnych partii. Politycy to ludzie, którzy przede wszystkim mają potrzebę panowania nad innymi. Na przestrzeni lat zauważyłem, że w ludziach, którzy otrzymują jakąś władzę, budzi się dzika bestia. Potwór, który jest chciwy i ślepy. Odnosząc się do tego co dzieje się obecnie, wydaje mi się, że wygramy walkę z władzą. Choć oni mają moc sprawczą, zajmując wysokie urzędy państwowe, to my jako społeczeństwo, mamy moc w liczebności. To czuć, że młodzi obywatele solidaryzują się ze sobą i oczekują konkretnych zmian. Wystarczy tylko, że władza bardzo nas rozzłości, żebyśmy tłumnie wyszli na ulice. Mam wrażenie, że z każdym dniem ten gniew w nas rośnie. Musimy jednak podchodzić do spraw politycznych z pewnym dystansem, ponieważ granica między dobrem, a złem jest dzisiaj bardzo cienka.

Rozmawiał
Daniel MIROŃCZYK-LEŚNIAK

> – Można ostrzegać ludzi przed wieloma rzeczami. Niestety wszelkie błędy i niebezpieczeństwa są częścią tego, co musi przejść każdy twórca. Najważniejsze jest jednak to, aby nie zatracić siebie. Im większe rzeczy się tworzy, tym większa spoczywa na nas odpowiedzialność. Wszystko to, co wychodzi spod naszych rąk, jest bacznie obserwowane przez ludzi.

Krucjata **łucznika**

Źródło: Fragment okładki „Green Arrow"/flickr.com

To już 80 lat opowieści o Szmaragdowym Łuczniku

Debiut Supermana na łamach pierwszego numeru serii „Action Comics" zapoczątkował tzw. złotą erę komiksu. Opowieści o zamaskowanych mścicielach zdobyły masową popularność. Na kartach licznych periodyków przeróżni bohaterowie zabiegali o uwagę czytelnika. Część z nich odeszła w niepamięć, część natomiast stała się popkulturowymi ikonami. Do grona tych drugich bez wątpienia należy postać Green Arrow.

Pierwsze pojawienie się Szmaragdowego Łucznika na kartach komiksu nastąpiło w listopadzie 1941 roku. W 73. numerze serii „More Fun Comics" opublikowano ośmiostronicową historyjkę pióra Morta Weisingera i ołówka George'a Pappa pt. „The Case of the Namesake Murders". W swoim debiucie Green Arrow i jego nastoletni pomocnik Speedy muszą rozwikłać sprawę zagadkowych morderstw dokonywanych na członkach klubu zrzeszającego imienników słynnych postaci historycznych. Historia Weisingera jest kuriozalna, a po jej lekturze na usta nie ciśnie się nic ponad stwierdzenie, że jest ona definitywnie produktem swoich czasów.

Szmaragdowemu Łucznikowi przez wiele lat towarzyszyła łatka bycia kalką Mrocznego Rycerza, wszak Olivier Queen był kolejnym milionerem, który pod osłoną nocy zrzucał maskę playboya-filantropa, by pod fikuśnym pseudonimem zwalczać zło i występek w fikcyjnej metropolii. Scenarzyści przygód Green Arrowa zuchwale wcielali w życie rozwiązania, które sprawdzały się na łamach „Detective Comics". Cudownego Łucznika na tle pozostałych peleryniarzy wyróżniały jego strzały. W kołczanie bohatera znaleźć można było m.in. strzały: ogłuszające, do czytania myśli, do czyszczenia kominów i zakończone głowicami nuklearnymi. Słowem, „Złota era komiksu" w pełnej krasie.

Zwrot w historii Szmaragdowego Łucznika nastąpił na przełomie lat 60. i 70. Z inicjatywy Dennisa O'Neila na łamach 75. numeru „Justice League of America" Oliver Queen wrobiony został w przestępstwo finansowe, w wyniku czego utracił rodzinną fortunę. W trakcie historii Green Arrow przechodzi metamorfozę, dostrzega kierującą nim małostkowość i w stylu Robina Hooda poprzysięga zostać głosem najuboższych i wykluczonych.

W kolejnych przygodach Szmaragdowy Łucznik połączył siły z Zieloną Latarnią, by na łamach serii „Green Lantern" wyruszyć w podróż po USA, celem zmierzenia się z trawiącymi kraj problemami. Przeciwności, które napotykają na swojej drodze, są boleśnie realistyczne. Pod okiem O'Neila bohaterowie zostali postawieni przed bliskimi czytelnikom dylematami. Eskapistyczne opowiastki ustąpiły miejsca historiom poruszającym tematy nierówności społecznych, pokutującego rasizmu, jak i zbierającej śmiertelne żniwo, narkotykowej plagi.

Komiksy O'Neila wykrystalizowały obraz Green Arrowa jako bohatera ulic. Był to fundament, na którym swoje opowieści zbudował m.in. Mike Grell. Pod piórem Amerykanina czterdziestokilkuletni Szmaragdowy Łucznik przeprowadził się do Seattle, by walczyć z zagrożeniami wspominanymi na pierwszych stronach gazet. Arrow – pełny pseudonim postaci w scenariuszach Grella nigdy nie pada – ściera się z seryjnymi mordercami, kartelami narkotykowymi i socjopatycznymi najemnikami. Dość powiedzieć, że wkraczając w mroczne czasy, Olivier pozbywa się kołczanu cudacznych strzał, wracając do korzeni i ostrych jak brzytwa grotów. Do dziś historie Grella uwodzą i zaskakują swoją brutalnością.

> Komiksy O'Neila wykrystalizowały obraz Green Arrowa jako bohatera ulic. Był to fundament, na którym swoje opowieści zbudował m.in. Mike Grell.

W kolejnych latach Green Arrow tracił pamięć, odzyskiwał ją, umierał i zmartwychwstawał, uczestniczył w międzyplanetarnych konfliktach wreszcie stając na czele Ligi Sprawiedliwości. Minęło 80 lat od publikacji pierwszych komiksów o przygodach bohatera. Niemniej, to dopiero początek historii Szmaragdowego Łucznika.

Remigiusz RÓŻAŃSKI

Disnejowski **renegat**

Przełom lat 70. i 80. był dla zachodniego przemysłu animacji okresem wyjątkowo burzliwym. Po śmierci Walta Disneya studio, które wprowadziło filmy rysunkowe na salony, ogarnął twórczy marazm. Zainteresowanie kinomanów nowymi produkcjami spadało, a ekrany telewizorów zalała kreskówkowa taniocha. Podczas pracy nad niesławnym „Lisem i psem" kilkunastu animatorów opuściło pokład tonącego parowca, by pod przewodnictwem Dona Blutha przywrócić animacji jej czar.

Źródło: kolaż własny/materiały promocyjne Universal Pictures, 20th Century Fox

Don Bluth – człowiek, który przywrócił kinu animację

„Lisa i psa" słusznie uważa się za jedną z najgorszych animacji w długiej historii Walt Disney Animation Studios. Opowieść o osieroconym lisku znajdującym przyjaciela w psie myśliwskim to produkt zachowawczości, cięcia kosztów i artystycznego tchórzostwa. Przeraźliwie nudny i ckliwy film był ostatnią produkcją, nad którą pieczę trzymała część legendarnych „Dziewięciu staruszków Disneya" – grupy animatorów odpowiedzialnej za powstanie m.in. „Bambiego".

Pierwsze kroki w świecie animacji Don Bluth stawiał u boku jednego ze „staruszków" – Johna Lounsbery'ego. W trakcie prac nad „Śpiącą królewną" pełnił obowiązki asystenta disnejowskiego weterana. W młodym animatorze widziano kontynuatora misji Walta Disneya, tymczasem zdegustowany ówczesną polityką studia Bluth wraz z dziesięcioma podobnymi mu artystami porzucił pracę przy „Lisie i psie", by pod szyldem Don Bluth Productions zatrząść posadami skostniałej branży.

Pierwszym pełnometrażowym projektem studia była „Dzielna pani Brisby". Opowieść o owdowiałej myszy, która wyrusza w niebezpieczną podróż, by uratować swoją rodzinę była zwieńczeniem niemal trzech lat pracy ponad 150 artystów. Rysownicy przez 7 dni w tygodniu podczas kilkunastogodzinnych zmian ręcznie kreślili, czyścili, kolorowali i kserowali każdą z klatek. Dla Blutha to właśnie pieczołowitość stanowiła o wielkości klasyków takich jak „Pinokio".

„Dzielna pani Brisby" to przykład świadomego operowania paletą barw, pomysłowego światotwórstwa, jak również wielki popis reżyserskiej brawury Dona Blutha. Jedną z początkowych scen filmu jest spotkanie tytułowej bohaterki z krukiem Jeremim. Myszka natrafia na ptaka, gdy ten próbuje pozbyć się krępującego go sznurka. Z narracyjnego punktu widzenia jest to rekwizyt kompletnie niepotrzebny, służy natomiast za metaforyczny pokaz siły. Roztrzepane ptaszysko komicznie wije się, wielokrotnie upada, bezowocnie siłuje z czerwoną linką wyłącznie by oznajmić, że czasy chałtury w głównym nurcie animacji dobiegły końca.

Pomimo sukcesu artystycznego animacja nie podbiła box-office'u.

> „Dzielna pani Brisby" to przykład świadomego operowania paletą barw, pomysłowego światotwórstwa, jak również wielki popis reżyserskiej brawury Dona Blutha.

W wyniku nieudolnej promocji film nie miał szansy zaistnieć w świadomości kinomanów w czasie, gdy na srebrnych ekranach królowały spielbergowskie dzieci: „E.T.", „Poszukiwacze zaginionej arki" i „Poltergeist". Finansowa porażka „Dzielnej pani Brisby" w dużej mierze przyczyniła się do ogłoszonego w 1985 roku bankructwa spółki. Studio uratowane zostało przez amerykańskiego biznesmena Morrisa Sullivana, by pod nazwą Sullivan Bluth Studios raz jeszcze wyruszyć na podbój serc miłośników animacji.

Choć to jego filmy zmiażdżyły pełnometrażowy debiut Blutha w walce o uwagę widza, sam Steven Spielberg był pod wielkim wrażeniem opowieści o dzielnej mysiej wdowie. W 1984 roku Sullivan Bluth Studios połączyło siły z Amblin Entertainment, by rozpocząć prace nad „Amerykańską opowieścią". Efektem współpracy doświadczonego animatora z wizjonerem branży filmowej, który debiutował w pracy nad animacją – był kasowy przebój i w swoim czasie najlepiej zarabiający film rysunkowy spoza stajni Disneya.

Kolejnym owocem kreatywnego przymierza Blutha i Spielberga był „Pradawny ląd". Historia piątki dinozaurów przemierzających jałowe ziemie mezozoicznego kontynentu w poszukiwaniu wiecznie zielonej Wielkiej Doliny, zadebiutowała na ekranach kin 18 listopada 1988. Film pobił box-office'owy rekord „Amerykańskiej opowieści" i zmusił włodarzy Disneya do podjęcia zdecydowanych kroków, które ostatecznie doprowadziły do słynnego renesansu studia na przełomie lat 80. i 90.

Bluth i jego współpracownicy z lubością rzucali bohaterom kłody pod nogi, jednak w „Pradawnym lądzie" przeciwności, które napotyka piątka dinozaurów, są nadzwyczaj dotkliwe. Liliput i jego przyjaciele odcięci są od swoich najbliższych cierpią głód, poszukują krainy, która może nie istnieć, a na domiar złego ich śladem podąża krwiożerczy „ostroząb". To pierwsza animacja dla najmłodszych, która tak odważnie eksplorowała temat śmierci, wszak matka głównego bohatera umarła na oczach widzów, na długo przed ikonicznym upadkiem Mufasy z klifu.

Filmy Blutha starzeją się z gracją, dlatego z okazji 33-lecia premiery „Pradawnego lądu" warto sprawić sobie tę przyjemność i dać się porwać opowieściom disnejowskiego renegata.

Remigiusz RÓŻAŃSKI

Teleprzełomy

12 października w serwisie Player.pl premierę miał „Prince Charming", czyli pierwszy w Polsce program randkowy z nieheteroseksualnymi mężczyznami w roli głównej. Zmagania trzynastu kawalerów o serce modela Jacka Jelonka odniosły zaskakujący sukces. Niewątpliwie duże znaczenie ma tutaj oryginalność pomysłu, który, choć oparty na amerykańskim formacie, dla polskiej publiczności jest czymś zupełnie nowym. Czy jednak jest jeszcze miejsce na przełomy w telewizji, czy wszystko zostało już wyemitowane?

Od początku istnienia telewizji komercyjnej, producenci próbują przyciągnąć jak największe grono odbiorców przed ekrany sięgając po coraz to bardziej kontrowersyjne i nowatorskie chwyty. Spróbujmy przyjrzeć się najważniejszym i najciekawszym przełomom w historii rozrywki telewizyjnej, które ukształtowały jej dzisiejszy wygląd.

Budując srebrny ekran

Nie ma stuprocentowej pewności, jakiej produkcji należy się miano pierwszego serialu fabularnego, jednak często za taką uznaje się amerykańską antologię „The Television Ghost" z 1931 roku, w której tytułowy duch opowiadał historię swojego zabójstwa. Przez następne lata telewizja, czerpiąc z tradycji seriali radiowych i filmów, wytworzyła unikatowe dla siebie gatunki. W 1946 roku BBC wyemitowało pierwszy odcinek „Pinwright's Progress", serialu o rywalizacji dwóch sklepikarzy, który dzisiaj uznaje się za pierwszy sitcom. W tym samym roku premierę miało „Faraway Hill" – pierwsza opera mydlana. Nie osiągnęła jednak długości z jaką kojarzymy ten gatunek. Dopiero w 1952 roku zadebiutował serial „The Guiding Light". Jego emisję zakończono w 2009 roku, doczekał się ponad 15 000 odcinków.

Ważny dla historii telewizji jest też rok 1951, kiedy narodziły się dwa ważne gatunki. Premierę miał wtedy „City Hospital" – pierwszy serialowy dramat medyczny – i seria „Dragnet" o przygodach sierżanta Fridaya, wyznaczająca początek serialom policyjnym.

Przełomy w telewizji nie są jednak związane tylko z formą i treścią, ale także z konkretnymi twórcami. Chociaż przez lata tymi osobami byli jedynie biali, bogaci mężczyźni, to niektóre rewolucje dokonały się zaskakująco wcześnie, kiedy ci sami producenci zorientowali się, że na mniejszościach też można zarobić. W 1951 roku powstał serial „Amos 'n' Andy" – adaptacja radiowej komedii o perypetiach dwóch czarnoskórych przyjaciół. Wtedy też w role głównych bohaterów po raz pierwszy wcielili się Afroamerykanie – do tej pory w radiu grali ich biali aktorzy. Chociaż sitcom zszedł z ramówki po dwóch latach, to wywarł niewątpliwy wpływ na losy czarnoskórych w telewizji. W następnych latach pojawiły się nowe programy, oparte już w mniejszym stopniu na stereotypach.

Dłużej na role pierwszoplanowe musiały czekać osoby LGBT. W latach 60. pojawiały się w telewizji jako kryminaliści (pierwsza lesbijka w historii dramatu telewizyjnego to psychopatyczna snajperka z serialu „The Asphalt Jungle" z 1961 roku). Później sytuacja uległa zmianie. Po dziesięciu latach od kreowania ich na zbrodniarzy – w serialu „All in the Family" coming outu dokonał przyjaciel głównego bohatera. Osoby homoseksualne pojawiały się jako postaci pozytywne, ale zawsze w rolach epizodycznych lub drugoplanowych. Za pierwszy serial z nieheteronormatywnym protago-

Doktor prędkości

Mało który zawodnik wpłynął na swoją dyscyplinę tak bardzo jak on. Z wyścigów motocyklowych zrobił show, przez co tysiące kibiców pojawiało się na torach całego świata dla niego. Dzięki niemu jego rodzinna miejscowość, Tavullia, stała się atrakcją turystyczną, a po każdym jego triumfie przeszywał ją dźwięk parafialnego dzwonu. Wyścigi motocyklowe bez Valentino Rossiego nie byłyby tym, czym dzisiaj są.

Źródło: pixabay.com/Jiří Rotrekl

Numer 46 jednoznacznie kojarzony jest z Rossim

Rossi w klasie królewskiej mistrzostw świata zadebiutował w 2000 roku, nie opuszczając od tego czasu ani jednego sezonu. Choć obecnie nie prezentuje już tej samej sportowej klasy, która zapewniła mu dziewięć tytułów mistrza świata, wciąż jest ulubieńcem kibiców. Świadczą o tym liczne żółte flary i tysiące charakterystycznych czapek na trybunach. Inni zawodnicy długo będą musieli pracować na takie uwielbienie, jakim obdarzono „Doktora". Valentino Rossi jest kimś więcej niż sportowcem – jest społecznym fenomenem. I pozostanie nim po sezonie 2021, po którym zakończył sportową karierę.

Benzyna we krwi

Będąc synem Graziano Rossiego, Valentino od małego miał do czynienia z wyścigami motocyklowymi. Jego ojciec sam startował w mistrzostwach świata i choć jego karierę przedwcześnie przerwała kontuzja, tak dalej, razem ze swoim potomkiem, pojawiał się w padoku przy okazji wyścigów Grand Prix. Również w domu młody Rossi był wystawiony na kontakt z motocyklami – pierwszą maszynę dostał mając zaledwie dwa i pół roku. Początkowo jednak jego serce skradły gokarty i to w nich rozpoczął wyścigową karierę. Miłość do ścigania się na czterech kołach nigdy w nim nie osłabła. Mimo to zdecydował się pójść w ślady ojca i związać swoją sportową przyszłość z jednośladami.

Zmagania rozpoczął w wyścigach minimoto i od razu udowodnił swoje umiejętności. To zaowocowało szybkim progresem. Mistrzostwo Włoch w klasie 125 cm³ potwierdziło klasę Vale i zapewniło opiekę fabrycznego zespołu Aprilli. Mając zaledwie 17 lat, po raz pierwszy wystartował w mistrzostwach świata! Początki w klasie 125 cm³ nie były imponujące, jednak już w kolejnym roku Włoch wywalczył mistrzostwo. To dało mu awans do wyższej kategorii, w której... powtórzył się ten sam schemat. W pierwszym sezonie Rossi się uczył, by w drugim zostać mistrzem świata – tym razem na motocyklu o pojemności 250 cm³. Nie było wątpliwości, że mieszkaniec Tavulli to wielki talent. Już wtedy wzbudzał entuzjazm nie tylko wśród fanów wyścigów motocyklowych. Swoimi ekscentrycznymi celebracjami wyróżniał się spośród innych zawodników. Pod każdym względem był gotowy do walki o najwyższe cele.

> Rossi nie skupiał się tylko na rywalizacji na torze. W rodzinnej miejscowości założył moto-ranczo, gdzie kształcą się młodzi motocykliści. Mogą tam oni trenować razem ze swoim idolem.

Ciąg tytułów

Przesiadka na motocykl o pojemności 500 cm³ nie stanowiła dla Włocha większej trudności. Już w pierwszym sezonie startów w klasie królewskiej zdobył wicemistrzostwo. Rossi był bezkompromisowy także poza torem – mocno zaangażował się w medialny konflikt z innym włoskim zawodnikiem, Maxem Biaggim, stawiając się jako jego alter ego. Kibicom bardziej do gustu przypadł showman Rossi. W kolejnych latach regularnie pokonywał Biaggiego także na torze. W sezonach 2001-2005 wywalczył pięć tytułów mistrza świata. Pierwsze trzy zdobył na motocyklu Hondy. Pomimo tych sukcesów w 2004 roku zdecydował się na przesiadkę na Yamahę. Było to spowodowane podejściem szefostwa zespołu z Tokio, które uważało, że tytuły zdobywa przede wszystkim maszyna, a nie zawodnik. Dla ego Rossiego było to nie do zniesienia. Przejście do konkurencyjnej ekipy okazało się dobrą decyzją, a Włoch startował na motocyklach tej marki do końca kariery (z krótką przerwą na nieudaną przygodę z Ducati w latach 2011-2012). Ostatnie mistrzowskie korony „Doktor" zgarnął w sezonach 2008 i 2009, tym samym śrubując swój rekord do dziewięciu triumfów, w tym siedmiu w klasie królewskiej. W drugiej dekadzie XXI wieku wciąż był w stanie walczyć o zwycięstwa w wyścigach, jednak mistrzowska korona zawsze się wymykała.

Rossi nie skupiał się tylko na rywalizacji na torze. W rodzinnej miejscowości założył moto-ranczo, gdzie kształcą się młodzi motocykliści. Mogą tam oni trenować razem ze swoim idolem. Dodatkowo „Doktor" wystawiał zespół w niższych klasach mistrzostw świata, a od przyszłego roku Team VR46 pojawi się w MotoGP. Przez całą karierę nie stracił również radości z rywalizacji na czterech kołach. Okazyjnie startował w rajdach, a do legendy przeszły jazdy bolidem F1. Testy w maszynie Ferrari poszły tak dobrze, że Rossi miał rozważać przejście do królowej sportów motorowych. Ostatecznie jednak do tego nie doszło. Teraz Vale ma skupić się właśnie na wyścigach samochodowych i choć na najważniejsze laury nie ma już szans, jedno jest pewne – na każdym torze będzie spotykał rzesze swoich fanów.

Rafał WANDZIOCH

---

nistą często uznaje się „Ellen", którego tytułowa bohaterka dokonała coming outu w 1997 roku – krótko po tym jak zrobiła to wcielająca się w nią Ellen DeGeneres.

Stranger than fiction

Nie samą fikcją jednak telewizja żyje. Skrzydło „reality" rozrosło się do ogromnych rozmiarów, doczekując się wielu podgatunków. Jego korzeni możemy upatrywać się w teleturniejach, których narodziny przypadają na rok 1941 i emisję „Truth or Consequences" – programu znanego z emocjonalnych sztuczek i wyjątkowo trudnych pytań.

Pierwszy prawdziwy reality show to „An American Family" z 1973 roku. Przewidziany był jako portret codziennego życia przeciętnej amerykańskiej rodziny, ale ostatecznie okazał się kroniką jej rozpadu i skończył się rozwodem seniorów rodu. Gatunek jednak zdobył popularność dopiero w latach 90., wraz z „The Real World" MTV, który jako pierwszy zebrał grupę nieznajomych w jednym domu i dokumentował ich relacje. Po jego sukcesie w 1999 roku premiery doczekał się holenderski „Big Brother", który już zupełnie zrewolucjonizował telewizję.

Wracając do punktu wyjścia, czyli programów randkowych – dotychczas grzeczne, oparte na konwencji „randki w ciemno", wraz z nowym tysiącleciem otrzymały odważniejsze oblicze. Format „Prince Charming" czerpie garściami z „The Bachelor" (w 2003 roku realizowanego również w Polsce jako „Kawaler do wzięcia"), czyli programu w którym kilka kobiet próbuje zdobyć serce tytułowego singla. Pierwszym programem w tej konwencji z udziałem gejów był „Boy Meets Boy". Polacy mogą za to kojarzyć dwa inne głośne programy z tamtego okresu: „Wszystko o Miriam", w którym uczestnicy walczyli o serce modelki, nieświadomi jej transpłciowości oraz „Zakochaj się w Tili Tequili", gdzie grupa lesbijek i heteroseksualnych mężczyzn rywalizowała o względy tytułowej biseksualnej skandalistki.

Źródło: Twitter/WTSSparta

Programy telewizyjne na przestrzeni lat diametralnie się zmieniały

Czy to oznacza, że w telewizji było już wszystko? Tak i nie. Na pewno pola do popisu jest coraz mniej, co nie oznacza, że każdy program musi być nowatorski i przełomowy. Nawet „Prince Charming" oparty jest na formacie, który czerpie z innego formatu. Ważniejsza od oryginalności powinna być jakość, bo często producenci poszukując nowych form, które przyciągną publiczność przed telewizory, zapominają o granicach dobrego smaku.

Michał FILIPIAK

Za sobą **w ogień**

materiał we współpracy z portalem www.aosporcie.pl

Lech Poznań UAM – tak nazywa się drużyna będąca owocem współpracy dwóch uznanych wielkopolskich marek: Lecha Poznań oraz Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Choć jest beniaminkiem trzeciej ligi (grupa II) kobiet, zimową przerwę spędzi na fotelu lidera. O udanych miesiącach, dalszych planach oraz kształcie zespołu porozmawialiśmy z Alicją Zając, opiekun niebiesko-białych.

Źródło: fot. Wiktoria Łabędzka

Alicja Zając

Wiktoria Łabędzka, dziennikarka aosporcie.pl: „Krok po kroku" – to stwierdzenie, które dość często można od Ciebie usłyszeć. Motto czy świadomość punktu docelowego?

Alicja Zając, trenerka Lecha Poznań UAM: – Myślę, że kwestia moich doświadczeń piłkarskich. Zdarzało się, że zaczynałyśmy sezon z myślą o mistrzostwie, a nie udawało nam się awansować nawet do najlepszej czwórki. Chcę wpajać zawodniczkom, właściwie robię to od czasu, gdy były młodsze, że skupiamy się na tym najbliższym celu: pierwszym meczu, a dopiero potem na następnym i kolejnym. To wtedy przychodzi i sądzę, że tym, co pokazało słuszność tej drogą, było awansowanie do trzeciej ligi. Tak naprawdę przed rundą wiosenną miałyśmy 12 punktów straty do lidera, a mimo to udało się dokonać czegoś, co wydawało się niemożliwe. I dziewczyny zdają sobie z tego sprawę, dla mnie to ważne – dlatego one tak się rozwijają. Ja też.

WŁ: No właśnie. To w końcu drużyna, która nie powstała tyle co przed rozpoczęciem tego sezonu. Znasz te dziewczyny od paru lat i – z tego, co udało mi się dowiedzieć – to grupa, w której od początku widać było spore możliwości.

– To prawda. Można powiedzieć, że te dziewczyny od samego początku są pod moją ręką, choć niektóre zmieniały barwy, potem wracały. Miały osiągnięcia: halowe, na trawie – i naprawdę można powiedzieć, że tak trochę z niczego powstała fajna drużyna. Każda dołożyła do tego swoją cegiełkę. Myślę, że sukcesy jeszcze przed nami i to w każdej odmianie piłki. To świetna grupa, która po prostu chce się rozwijać i to jest najważniejsze.

Karol Szabanowski, dziennikarz „Fenestra. Gazeta Studencka": Same rozmowy z klubem podobno trochę trwały.

– Trwały bardzo długo. Już na obozie we Wronkach półtora roku temu rozmawiałam z Tomkiem Mendrym, liderem projektu. Sama byłam przedtem w Lech Poznań Football Academy, dosłownie prowadziłam treningi na stadionie: początkowo z grupami chłopięcymi, dopiero potem z dziewczynkami. Jakieś trzy lata staraliśmy się o stworzenie kobiecego zespołu seniorskiego, ale się nie udało. Gdy przez ten ostatni sezon występowałyśmy pod szyldem UAM-u, trochę się zmieniło i fajnie, że to ruszyło. Myślę, że plany są ambitne, ja też jestem osobą ambitną.

WŁ: Czy masz wiedzę, że osobom odpowiedzialnym za ten projekt przy Bułgarskiej zależało właśnie na takim waszym, wypracowanym na UAM-ie, „know-how" w pracy z zespołami dziewczęcymi?

– Myślę, że tak. Jeśli chodzi o kobiecą piłkę, sam trener Weiss (pracownik Studium Wychowania Fizycznego i Sportu UAM, inicjator futsalu kobiet na naszej uczelni) to chyba najbardziej rozpoznawalna postać w Poznaniu. Sądzę, że ja w pewien sposób też, czy to przez piłkę trawiastą w Polonii Poznań, czy halową na UAM-ie, bo z nim jestem najbardziej kojarzona. Siedzimy w tym dłużej, więc przy Bułgarskiej wiedziano, że można nam zaufać. Trochę ich wprowadzamy w ten świat damskiego futbolu, a oni nas w ten organizacyjno-techniczny, zapewniając nam wiele rzeczy, na które normalnie nie byłoby nas stać.

WŁ: Kiedy same dziewczyny dowiedziały się, że będą grały pod szyldem klubu?

– Tak w okolicach lutego czy marca zaczęły pojawiać się informacje o połączeniu. Już wtedy wiedziały, że tak będzie, ale nie mówiliśmy tego oficjalnie, żeby nie zaprzątały tym sobie głów. Żebyśmy się skupiły na tym, aby – krok po kroku – wygrywać kolejne mecze i powalczyć o awans.

KS: Czy przez tę rundę drużyna zdążyła się tak całkowicie oswoić z herbem?

– Myślę, że tak. Choć początek był stresujący: ta cała otoczka, wywiady, sesje zdjęciowe, nowy sprzęt, osoby. Sama postać Mai Rutkowskiej, która nie tylko pojawiła się na konferencji prasowej, ale przyjechała do nas, na Morasko, żeby porozmawiać z dziewczynami. To pokazało, że nie będziemy drużyną anonimową. Sam wydźwięk w social mediach też jest ogromny. Te wszystkie czynniki mogły ciążyć, wciąż czasem mogą. To w końcu Lech Poznań. Mówiło się, że budujemy to wszystko ze spokojem, a my będąc beniaminkiem jesteśmy liderem, więc wiadomo, że przychodzi ochota na coś więcej.

WŁ: I to mimo tego (ligowego) falstartu.

– Tę pierwszą porażkę z Błękitnymi Stargard (0:2) zrzucamy na stres czy oczekiwania wobec herbu Lecha Poznań, natomiast w Lęborku powinnyśmy wygrać, nie zremisować 1:1. I te ostatnie cztery minuty w Krobi, gdzie przegrałyśmy 0:1… Ja im powtarzam, że możemy przegrywać, bo w przypadku tak młodego zespołu to zrozumiałe, ale musimy być zaangażowane, mieć chęci do walki. Tego nie może zabraknąć w żadnym meczu. Jeśli te cechy będą nas charakteryzować, to drużyna śmiało zostanie w czubie tabeli czy nawet wywalczy awans. Jeszcze przed tym sezonem wiedziałam, że możemy znaleźć się w pierwszej trójce. Niezależnie jednak od ostatecznego wyniku, będzie to ogromne doświadczenie.

KS: Zakończyłyście rundę na pierwszym miejscu. Gdzie trenerka Alicja Zając dostrzega mankamenty w grze drużyny, nad którymi należy popracować?

– Myślę, że przydałby się nam ktoś, kto weźmie na siebie ciężar zdobywania bramek. Nie tylko w momentach ważnych, ale tak ogólnie. Co prawda liderujemy pod tym względem w lidze, ale mimo wszystko uważam, że mamy więcej jakości w defensywie. Może to kwestia mentalnego przełamania lub "dorzucenia " osoby, która to pociągnie, bo to przede wszystkim młode dziewczyny. Te cztery treningi w tygodniu to dla nich naprawdę sporo, mając na uwadze szkołę czy nadchodzącą maturę. Samo to, że na przyjeżdżają na zajęcia – bardzo to doceniam. Tak naprawdę pierwszoligowe klubu czasem nawet nie mają tylu jednostek treningowych. Uważam, że i tak robimy coś ponad stan.

WŁ: Jakie macie plany na tę przerwę, długą przerwę?

- Normalnie mamy trzy treningi tygodniowo, plus we wtorek siłownię z bieganiem i basenem, więc to wymagający dzień. Ten pierwszy mecz po przerwie zagramy chyba dopiero w marcu, ale dziewczyny na pewno wystąpią w młodzieżowych mistrzostwach Polski rozgrywanych na hali. Zuza Sawicka, Paula Fronczak, Marta Zielińska, Ania Laskowska, Maja Kuleczka oraz Gabrysia Przybył będą grały w Futsal Ekstralidze, dlatego nie odczują tak tej przerwy. Myślę, że ten czas przyda się też drużynie choćby w kontekście szkoły, więc pewnie zejdziemy trochę z obciążeń, żeby w to jedno popołudnie poszły do kina czy nawet na imprezę. Każdy relaksuje się lub odpoczywa w inny sposób i to na pewno im potrzebne.

KS: Czy planujecie w ciągu tych miesięcy jakieś ruchy transferowe?

- Chcemy wzmocnić drużynę i będziemy szukać odpowiednich zawodniczek. Nie ma co ukrywać, to trudne ze względu na specyfikę środowiska kobiecego futbolu. Jasne, herb Lecha może tu pomóc, ale tak naprawdę na tym poziomie wiele rzeczy ma wpływ na ostateczną decyzję. I to wcale nie pieniądze, tylko rodzice, bliscy. Trudno też nakłonić kogoś do zejścia o poziom rozgrywkowy niżej. Musimy szukać w naszym regionie, czasem dziewczyn, które po prostu tu się uczą. Może też któraś z piłkarek potrzebuje przerwy, odpoczynku i wiosną odpali? Chcemy pracować, robić swoje, może kogoś przemianować?

WŁ: Odnosząc się do samego kształtu zespołu, tego, że dziewczyny znają się nie od dziś. Czy nie obawiasz się, że w pewnym momencie, gdy drużyna wzbogaci się o kilka transferów, ten charakter się zatraci?

– Jestem tego świadoma i myślę, że awansując będzie to naturalny

proces. Ja od samego początku powtarzam dziewczynom, że mogą zostać w drużynie tylko ciężką pracą: nie za nazwisko, nie ze względu na to, że są ze mną od początku lub po prostu trenowały na UAM-ie. Muszą zasuwać. Na pewnym etapie takie ruchy będą potrzebne, ale też nie chciałabym, żeby do zespołu przyszedł ktoś, kto kompletnie nie będzie do niego pasować, niezależnie, czy byłaby to mistrzyni świata czy Ewa Pajor. Jeśli nie będzie tu zgodności charakterów, to ta zawodniczka nie wniesie do drużyny tego, co powinna, nie będzie się czuć u nas dobrze, ani my z nią. To musi być osoba, która złapie klimat, dostosuje się do pewnych zasad, naszego funkcjonowania oraz tego, czego oczekuję. To zawsze musi działać w dwie strony.

WŁ: Środowisko damskiego futbolu jest dość wąskie, co widać także po składzie sztabu szkoleniowego. Czy sprawia to, że trenerka czasem musi być również psychologiem? Szczególnie patrząc na wiek tych dziewczyn.

– To prawda. Jeszcze rok temu w sztabie oprócz mnie była tylko Natalia [Powchowicz – przyp.red.].

> Jak po końcowym gwizdku w euforii wbiegłam na boisko i wszystkie zawodniczki wpadły w moje ramiona. Kiedy oglądam powtórkę tej sytuacji, to wciąż jest to fajne. Myślisz sobie, wracając do domu: "Ja za nimi w ogień, one za mną też".

Sądzę, że przeprowadziłam wiele rozmów z tymi dziewczynami i czasem sobie myślę, że wiem o nich więcej niż ich rodzice, bo zwierzają się ze wszystkiego. Jeśli dzieje się coś w domu, szkole czy gdziekolwiek, to po dziewczynach od razu widać. Zawsze im powtarzam: najpierw mamy być dobrymi ludźmi, potem piłkarkami – bo tak naprawdę nie wiem, ile z nich będzie grało w reprezentacji, a nawet w ogóle w piłkę. Trzeba też trochę patrzeć na to w ten sposób, że dla nas to przygoda i te dziewczyny mają przede wszystkim się wyedukować, pomyśleć o tym, co chcą w życiu robić, bo w Polsce piłka to niestety nie wszystko. Mam nadzieję, że kiedyś się to zmieni i nawet w tych niższych ligach będą pieniądze.

– Teraz w sztabie jest nas więcej: Natalia, Agnieszka [Łusiewicz – przyp.red.], Kuba [Kluźniak – przyp.red.], dzięki czemu dziewczyny mają poczucie bezpieczeństwa, także od strony medycznej. Jest też trener Wojtek, kierownik sekcji. Jak na poziom trzeciej ligi, pięć osób w sztabie to naprawdę dużo. Komfort pracy się poprawia.

WŁ: Z niektórymi dziewczynami gracz w futsalu, większość to twoje podopieczne od „małego". Jest też trener Weiss, dzięki któremu trafiłaś na UAM. Jak wyglądają relacje oraz budowa autorytetu u was w zespole?

– Z Zuzą Sawicką, Paulą Fronczak czy Martą Zielińską grałam w zespole, ale one wciąż traktują mnie jako trenerkę. Jest trening, to zwracają się do mnie "pani trener" albo "trenerko". Nie mają z tym problemu, obowiązują je te same zasady, których się trzymają. Są też traktowane tak samo. Kiedy idziemy na futsal, to jestem dla nich Alą. Jedyna osoba, która na nim wciąż nazywa mnie trenerką, jest Maja Kuleczka. Myślę, że zostanie tak na długo za względu na to, że po prostu bardzo mnie szanuje. Zawsze powtarzam, że to trochę taki mój "żołnierz". Ja za nią pójdę w ogień i odwrotnie. To można łatwo dostrzec. I z trenerem Weissem wciąż jestem na "trener", ponieważ mam do niego ogromny szacunek. Kilka naszych zawodniczek zwraca się do niego po imieniu, bo są w takim wieku czy były momenty, w których można było przejść na "ty". Dla mnie to wciąż trener Wojtek. Nie myślałam o tym i nie wyobrażam nawet sobie, że powiem kiedyś: "Wojtek, słuchaj". Za dużo mu zawdzięczam, bo wziął mnie do Poznaniaka, a potem do UAM-u. Tak ta przygoda się zaczęła, doszła do tego ciężka praca, ambicje i upór, które pozwoliły mi dojść tu, gdzie teraz jestem, a idę jeszcze dalej.

WŁ: Mogłaby pójść za tobą w ogień. Cała drużyna nawet. To musi być ogromnie ważne dla trenera.

– To prawda. Teraz mam przed oczami ligowy mecz z Oborzyskami [Juna-Trans Stare Oborzyska – przyp.red.] i bramkę na 3:2 w ostatniej minucie. Jak po końcowym gwizdku w euforii wbiegłam na boisko i wszystkie zawodniczki wpadły w moje ramiona. Kiedy oglądam powtórkę tej sytuacji, to wciąż jest to fajne. Myślisz sobie wtedy: "Ja za nimi w ogień, one za mną też". Mocno skupiamy się w zespole na tym aspekcie psychologicznym, czyli budowaniu relacji, atmosfery. Dziewczyny czują i wiedzą, że mogą na mnie liczyć. Nie tylko sportowo, ale też prywatnie. Odbyłyśmy wiele rozmów: trudniejszych, łatwiejszych. Sądzę, że można powiedzieć, że jesteśmy jak rodzina.

Cała rozmowa dostępna na stronie www.aosporcie.pl.

Rozmawiali
Wiktoria ŁABĘDZKA
i Karol SZABANOWSKI

Ostrovia Księżną Wielkopolskiego Szczypiorniaka!

Źródło: Kacper Bagrowski / Tygodnik Wągrowiecki

Czy ktokolwiek będzie w stanie zatrzymać Ostrovię?

Piłka ręczna w Wielkopolsce wyraźnie cieniuje. Występy w najwyższej klasie rozgrywkowej Energi MKSu Kalisz nie były w stanie całkowicie zamazać marazmu, w jaki popadł szczypiorniak w regionie. Sytuację może zmienić obecny premierowy sezon rozgrywek Ligi Centralnej, w której to kibice mogą oglądać zespoły z Wągrowca i Ostrowa Wielkopolskiego. Obie ekipy zmierzyły się ze sobą w derbach i powalczyły o miano Księżnej Wielkopolskiego Szczypiorniaka. Górą z tej rywalizacji wyszli ostrowianie.

Trwający sezon jest zupełnie nowym doznaniem dla polskiej piłki ręcznej, a więc także dla Nielby Wągrowiec i ARGED KPR Ostrovii Ostrów Wielkopolski. Liga przeszła głęboką reformę, przez co zniknęła znana do tej pory pierwsza liga. Jej miejsce zajęła Liga Centralna, która została nowym zapleczem PGNiG Superligi. W rozgrywkach tych zniknął podział regionalny. Nowy twór ligowy utworzyło 14 zespołów z całej Polski. 12 ekip, które w minionym sezonie uplasowały się na miejscach 1-3 w swoich grupach pierwszej ligi oraz dwa zespoły, które zajęły w nich czwarte miejsce z najlepszym bilansem punktowym. Powołanie do życia Ligi Centralnej ma na celu profesjonalizację rozgrywek i możliwie jak największe zatarcie różnic pomiędzy PGNiG Superligą, a jej zapleczem.

Fenomenalnie w nowe rozgrywki weszła ARGED KPR Ostrovia Ostrów Wielkopolski. Podopieczni trenera Macieja Nowakowskiego nie zaznali jeszcze smaku porażki w lidze. Jedyne potknięcie nieoczekiwanie przydarzyło się ostrowianom w PGNiG Pucharze Polski, gdzie ulegli niżej notowanej ekipie SPR Gorzyce Wielkie. Na usprawiedliwienie Ostrovii można jednak przywołać fakt, że w tym spotkaniu zagrali w większości gracze rezerwowi. Liga Centralna to jednak inny świat i prawdziwe królestwo szczypiornistów z Ostrowa Wielkopolskiego, którzy nie dali żadnych szans m.in. bardzo silnym ekipom z Gorzowa Wielkopolskiego, Olsztyna czy Przemyśla. Prawdziwą twierdzą stała się nowoczesna Hala Ostrów, mogąca pomieścić 5200 widzów. Przed dwoma laty to właśnie jej brak sprawił, że zespół ten nie spełnił wymagań licencyjnych i nie mógł zagrać w PGNiG Superlidze. Czy w tym sezonie uda się im zrealizować marzenia o grze w najwyższej klasie rozgrywkowej? Ostrowianie są na dobrej drodze.

Z nieco innego punktu do derbowej rywalizacji podeszli szczypiorniści Nielby Wągrowiec. Żółto-Czarni weszli w sezon fatalnie, przegrywając cztery z pięciu pierwszych spotkań. Trener Bartosz Świerad musi zmagać się z ogromnymi problemami – nie dość, że kadra zespołu jest niezwykle wąska, to jeszcze trapią ją kontuzje. W pierwszych tygodniach sezonu zespół nie dysponował żadnym nominalnym obrotowym! Ostatnio jednak w zespole jakby coś… „drgnęło". Wągrowczanie po niezwykle emocjonujących meczach pokonali Warmię Energę Olsztyn, GKS Żukowo oraz KPR Legionowo. Szczególnie to ostatnie zwycięstwo zasługuje na uwagę, szczypiorniści z Legionowa byli bowiem zdecydowanymi faworytami tego starcia. Nielbistów „ciągnie za uszy" jej największa gwiazda – Paweł Gregor. Aktualny lider klasyfikacji strzelców Ligi Centralnej w meczu z KPRem rzucił aż 16 bramek! Pytanie brzmi, jak długo Żółto-Czarni będą w stanie opierać swoją grę na postawie jednego zawodnika?

Rozegrane w Wągrowcu derby, choć zapowiadały się interesująco zakończyły się miażdżącym zwycięstwem gości z Ostrowa 29:38. Dodatkowego smaczku rywalizacji dodała daleka od okazywania szacunku byłemu klubowi postawa Artura Klopstega, który przed sezonem zamienił Nielbę na Ostrovię. Zwycięzcy wskoczyli na fotel lidera tabeli, którego nie mają zamiaru oddać do końca rozgrywek, przegrani zaś pogrążyli się w marazmie. I o ile dla tych pierwszych przyszłość rysuje się w jasnych barwach, dla tych drugich z każdym dniem jest coraz bardziej niepewna.

Kacper BAGROWSKI

Na pekińskim szlaku – część 2

Igrzyska olimpijskie to dla sportowców, jak i kibiców na całym świecie, dużo więcej niż tylko zawody sportowe. To kultywacja tradycji, ukazanie piękna rywalizacji, ale i przekazanie różnych idei. Te często wyraża slogan przypisany do danej imprezy. W Pekinie świętować będziemy pod hasłem: „Radosne spotkanie na czystym lodzie i śniegu". W Turynie do którego za moment powrócimy brzmiało ono: „Pasja żyje tutaj".

Źródło: kolaż własny A. Konieczna

Trener Wierietielny wychował Justynę Kowalczyk i Tomasza Sikorę

I to właśnie pasji do sportu nie zabrakło tym, którzy we Włoszech sprawili, że fatalne igrzyska nagle stały się pięknym wydarzeniem dla polskiego sportu. Przypomnijmy, że impreza oficjalnie została otwarta 10 lutego 2006 roku i od początku dla Polaków była pasmem porażek, upadków, a także kolejnych zwątpień. W poprzednim numerze wspominaliśmy o tekście, który został wtedy opublikowany w jednej z gazet, i w którym pytano „kto nam zmarnował igrzyska olimpijskie?". Wydawało się bowiem, że turyńskiej klęsce nie da się zapobiec. Tomasz Sikora po rozegraniu trzech konkurencji, czyli sprintu, biegu pościgowego i biegu indywidualnego, nie mógł poszczycić się choćby jednym wynikiem w czołówce. Najlepszą lokatą, którą wywalczył było 18 miejsce w wyścigu na dochodzenie.

Jeszcze gorzej wiodło się Justynie Kowalczyk. Polka po dramatycznym upadku w biegu na 10 km stylem klasycznym pozostała we Włoszech i wystartowała w kolejnej konkurencji. Tą był bieg sprinterski stylem dowolnym. Niestety – odpadła już na etapie eliminacji, a złoto, co prasa także podkreślała, zdobyła równolatka naszej zawodniczki, czyli Kanadyjka – Chandra Crawford.

Polityczne gierki

Wobec pasma porażek i niewielkich promyków radości, jak piąta lokata Krystyny Pałki w biegu indywidualnym w biathlonie, nastroje w polskim obozie nie były dobre. Sytuację chcieli, jak to zwykle bywa, wykorzystać również politycy. Jak wspomina Kamil Wolnicki – 24 lutego 2006 roku – opozycja podczas konferencji prasowej o słabe wyniki oskarżyła rządzącą wtedy koalicję. Posłowie nie przewidzieli jednak czegoś – tego, że gdy oni występowali, to na trasie była Justyna Kowalczyk.

24 lutego Polka stanęła bowiem na starcie biegu na dystansie 30 km stylem dowolnym. Wystartowała wbrew radom tych, którzy chcieli odesłać ją do kraju i dzięki lekarzowi, który zaryzykował dla niej cały swój autorytet. Polką opiekował się wtedy dr Robert Śmigielski – uznany fachowiec, który pracował m.in. z Otylią Jędrzejczak. Po przeprowadzeniu badań nie widział on przeciwskazań, by zawodniczka pobiegła. Presję na nim chcieli jednak wywrzeć działacze, z szefem PKOL-u na czele. Po latach „Przeglądowi Sportowemu" mówił: „W każdym razie ja się uparłem. Byłem nie tylko lekarzem Justyny, ale szefem polskiej misji medycznej, więc mojej medycznej opinii nikt nie mógł podważyć. Ale nie mam wątpliwości: gdyby coś jej się wtedy stało, to dzisiaj byśmy nie rozmawiali, bo straciłbym prawo do wykonywania zawodu i pewnie jeszcze byłbym w pasiaku. Wziąłem odpowiedzialność za wszystko i Justyny można było nie dopuścić do dalszych startów tylko na podstawie decyzji administracyjnej."

To jedno spojrzenie

Wróćmy więc na narciarską trasę. Justyna Kowalczyk od początku trzymała się w czołówce, która z każdym kolejnym kilometrem topniała. Gdy zawodniczkom do mety pozostało już niewiele, Polka pojawiła się na czele grupy, która rozpoczynała kolejny, trudny podbieg. Wystrzeliła do przodu, a kolejne rywalki nie wytrzymywały tempa. Nie odpuściła nawet, gdy za jej plecami zostały tylko Czeszka Kateřina Neumannová i Rosjanka Julija Czepałowa, a o kontakt z czołówką walczyła Norweżka Kristin Steira. Pod górę pędziła tak, że już po wyścigu Neumannová przyznała, że nie widziała wcześniej tak mocno pracującej zawodniczki.

Następny przyszedł już kolejnego dnia, gdy sprawy w swoje ręce wziął kolejny z wychowanków trenera Aleksandera Wierietielnego, czyli Tomasz Sikora. Nasz zawodnik wystartował w biegu masowym. Jeszcze przed rozpoczęciem rywalizacji pilnującej jego sprzętu Katarzynie Ponikwie miał powiedzieć, że nie ma ochoty startować. Mimo wszystko pobiegł i zmagania rozpoczął świetnie. Strzelał jak z nut i po trzech wizytach na strzelnicy był na medalowej pozycji. Na ostatnie strzelanie dotarł wraz z Ole Einarem Bjørndalenem. Stanął ramię w ramię z wielkim mistrzem. Choć strzały oddawał wolniej, to gdy Norweg pudłował, to Polak trafiał. Niestety – jeden nabój nie dotarł do tarczy. Sikora spudłował raz, Bjørndalen dwa razy. Polak szybciej więc ruszył na trasę – prowadził w wyścigu o olimpijskie złoto. Niestety tuż za jego plecami był już wtedy, bezbłędny na ostatnim strzelaniu, Niemiec Michael Greis. I to właśnie reprezentant naszych zachodnich sąsiadów na trasie złapał Polaka i zdołał go minąć. Złoto pojechało do Niemiec, ale srebro zawędrowało do Polski.

Na podbiegu Kowalczyk wypracowała przewagę. Niestety – na zjazdach rywalki pojechały nieco lepiej i na ostatniej prostej zdołały zbliżyć się do naszej zawodniczki. Justyna nadal jednak prowadziła i mogła zdobyć złoto. Zgubił ją brak doświadczenia. Na ostatniej prostej, gdy miała już czarno przed oczyma, spojrzała do tyłu – chciała sprawdzić, ile zawodniczek jest za nią. Czeszka, po biegu powiedziała, że gdyby nie ten gest, to nie zaatakowałaby Kowalczyk. Odczytała jednak, że Polka nie ma już sił i wykorzystała okazję. Ostatecznie nasza zawodniczka na metę wpadła jako trzecia. Zdobyła więc medal i ośmieszyła polityków. Szefowi PKOl-u miała w ostrych słowach powiedzieć, żeby się oddalił, gdy chciał jej pogratulować.

Biathlonowy deser

Wywalczenie przez Kowalczyk medalu spowodowało, że imprezę już można było uznać za udaną. Przypomnijmy, że choć igrzyska odbywają się od 1924 roku, to był to dopiero siódmy krążek wywalczony przez Polaków w historii.

Ośle łączki

O ile dwa medale w Turynie były świetnym wynikiem, o tyle już cztery lata później kibice mieli zdecydowanie większe oczekiwania. Te wiązano przede wszystkim z Justyną Kowalczyk. Polka do Kanady jechała jako najlepsza zawodniczka na świecie – w 2009 roku zdobyła Kryształową Kulę i trzy medale mistrzostw świata w Libercu. W tym dwa złote. Do tego w olimpijskim sezonie w znakomitym stylu wygrała Tour de Ski, a w zawodach Pucharu Świata zanotowała ponad 10 miejsc na podium. Dodatkowo tuż przed rozpoczęciem olimpijskich zmagań w Canmore, gdzie rozegrano sprint stylem klasycznym zdemolowała rywalki. Najpierw z przewagą prawie pięciu sekund wygrała eliminacje, by w finale długo czekać na mecie na konkurentki.

Zapominano jednak, że Marit Bjoergen zapowiedziała swój wielki powrót, a olimpijskie trasy Kowalczyk nazwała „oślimi łączkami". Jak po nich hasała opowiemy w kolejnym numerze.

Aleksandra KONIECZNA

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra

Wydawca: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM, ul. Umultowska 89a, 61-614 Poznań.
Redakcja: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, Uniwersytetu Poznańskiego 5, pokój 144, 61-614 Poznań
email: fenestra.uam@gmail.com, **facebook:** www.facebook.com/gazeta.fenestra
ISSN 2658-2023

Redaktorka naczelna: Oliwia Trojanowska
Zastępczyni redaktorki naczelnej/Redaktorka działu polityka: Katarzyna Rachwalska
Redaktor działu sport: Kacper Bagrowski
Redaktorka działu kultura: Kornelia Starczewska
Sekretarz redakcji: Rafał Wandzioch

Szefowa działu foto: Daria Sienkiewicz
Zastępca redaktorki działu polityka: Kacper Zieleniak
Korekta: Karolina Binek, Kasia Chojnowska, Aleksandra Kryska, Agnieszka Malczewska, Anna Przybylak, Marta Warzych

Redakcja: Aleksander Rajewski, Aleksandra Konieczna, Aleksandra Kryska, Anna Przybylak, Bartosz Glapiak, Daniel Mirończyk-Leśniak, Daria Sienkiewicz, Emilia Ratajczak, Ewelina Dernoga, Filip Siuda, Ilona Dąbrowska, Izabela Sulowska, Jakub Szustakowski, Julia Jurek, Julia Wiśniewska, Kacper Bagrowski, Kacper Zieleniak, Kajetan Ipczyński, Karol Szabanowski, Kasia Chojnowska, Klaudia Berda, Krzysztof Puczko, Maria Mikołajczyk, Marta Kotecka, Marta Warzych, Mateusz Drewniak, Michalina Brzuska, Michał Filipiak, Monika Lisiak, Olimpia Olik, Paulina Pszczółkowska, Przemysław Terlecki, Remigiusz Różański, Robert Płachta, Wiktoria Łabędzka, Zuzanna Górna

Skład Tomasz Szukała
Opiekun redakcji Red. Lesław Ciesiółka
Strona internetowa www.gazetafenestra.pl
Facebook www.facebook.com/gazeta.fenestra
Instagram gazetafenestra
Twitter /twitter.com/FenestraGazeta

Druk Drukarnia Prasowa ul. Malwowa 158, Skórzewo
Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania nadesłanych tekstów. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych reklam.